

Refleksja nad wiarą. Rozważania na Wielkanoc.



Święty Franciszek z Asyżu, Włochy, fot.

Juliana Saldanha z Pixabay

Stefan Król (1937-2015)

Różne są drogi przyjmowania i akceptacji wiary, różne sposoby jego rozumienia. Jest wiara radosna, akceptująca w zachwycie całe stworzenie, wiara pokornie znosząca krzyż życia, wyrażająca się w hymnach dziękczynienia, jak wiara franciszkańska; jest wiara pełna zdumienia i zaskoczenia: *jest Bóg widziałem Go*, wiara nowonawróconych, jak wiara zmarłego wielkiego przyjaciela Jana Pawła II – Andre Frossarda; jest wiarą codziennych pacierzy porannych i wieczornych, wiara utrudzonego znoju – od świtu do zmierzchu, jak wiara wieśniaków z powieści Reymonta, jest wiara rozterek, wiara ucieczek i powrotów, wiara utracona i odzyskana, jak wiara wielu z nas; jest wreszcie wiara – jednocześnie wiary i niewiary – wiara do konca nieposkromionego buntu, wiara pokonanego sprzeciwu: *Galilejczyku zwyciężyłeś*, jak wiara uczciwych „kibiców” Kościoła; jest jeszcze spychana w podświadomość i odzywająca się tylko w chwilach ciemnych i samotnych wiara zagubiona, gdy – jak w wierszu Jana Twardowskiego – *biorąc tom Lenina z szafy na ręce, szukam zwykłej wiary dziecięcej*.

Racjonalizująca refleksja nad wiarą jest tak stara jak sama wiara. Teologia ma przecież wielowiekową historię, a ojcowie i doktorzy Kościoła to ludzie szczególnie zasłużeni w rozpoznawaniu kompetencji wiary i rozumu, w kształtowaniu naszego powołania

życiowego. W dawnej teologii mówiło się: światło wiary i światło rozumu. Ideałem było, aby te dwa światła zlały się w jedno wzmacniające się wzajemnie. W ciągu wieków wytworzyły się nawet pewne tradycje myślenia o wierze. Jeśli wiarę przyjmujemy jako fakt pierwotny, mówimy: wiara szukająca zrozumienia, umieszczając się tym samym w tradycji sięgającej św. Augustyna. Gdy myślimy że, kierując się światłem rozumu wzbogaciliśmy światło wiary, wtedy święty Tomasz będzie patronem naszej refleksji, a sytuację odnajdywania wiary opiszemy mówiąc: rozum szukający wiary. Kościół katolicki roztropnie akceptuje obie i żyje obu tradycjami. Ważny jest efekt końcowy.

Ten sięgający głęboko w historię podział jest dzisiaj nie tylko nieadekwatny, co nie chwytający współczesnych problemów wiary. Problemem nie jest już wzmocnienie jednego światła przez drugie. Dzisiejsze projekty oświecenia chcą ograniczyć światło wiary do prywatnych przedpokojów – broń Boże nie dopuścić tego światła na place publiczne – na salonach ma królować Liberalny Rozum.

Tymczasem zauważamy, że o dogmat Trójcy Świętej nie kłóć się już dziś przekupki na targu w Konstantynopolu, jak pisał kiedyś Tadeusz Zychiewicz. Na ulicach naszych miast pod osłoną demokracji demonstrują natomiast zwolennicy dwu odmiennych orientacji: zostawić czy odebrać Bogu prawo decydowania o początku i końcu życia ludzkiego; przyznac grzechowi realne

istnienie w życiu ludzkim i tym samym dopuścić, aby ludzie grzeszący czuli się winni, czy też pożegnać się bez żalu z grzechem jako nieaktualną już i przebrzmiała umową społeczną, w zamian za to organizować różne tygodnie dumy z czegoś co, jeszcze niedawno było co najmniej wstydem; który Bóg jest Bogiem dla nas: czy Bóg Abrahama, Izaaka i Jakuba oraz Ewangelii i katolickiej tradycji, czy Bóg demokratów, którego prawa, prerogatywy i obszary nieingerencji regulowane są wolą większości i interesem wyborców.

Wewnątrz Kościoła katolickiego ten „duch czasu” stworzył całkiem spore grupy tzw. „alekatolików”. Ich postawę wyrażają – przykładowo – następujące przekonania: jestem katolikiem, ale nie cenię sakramentu kapłaństwa, solidaryzuję się z bohaterem jednej z bajek Andersa, który miał dziwną chorobę: nie mógł znieść widoku księdza. Gdy tylko jakiś ksiądz nawinął mu się na oczy, dostawał ataku wściekłości. – *Od księży nie może wyjść nic dobrego* – to niestety nie wymyślone, ale realnie wypowiedziane zdanie; jestem katolikiem, ale nie uznaję władzy biskupa mojej diecezji, jestem katolikiem, ale zakres nieomyłności papieża ustalę ja sam w zależności od moich potrzeb; jestem katolikiem, więc uznaję istnienie prawd obowiązujących zawsze i wszędzie, ale moje „tu i teraz” jest tak specyficzne, że prawdy wieczne nie mają tu dostępu, itd. Listę można ciągnąć dalej w zależności od indywidualnych spotkań i doświadczeń.

Rozum walczy z wiarą – a może jeszcze gorzej – ignoruje wiarę, bo wiara urąga rozumowi – takie jest dzisiaj aprobujące przeświadczenie, jeśli nie większościowe, to w każdym razie większościowo powszechne. Dzisiejsza wiara szuka nie tyle zrozumienia co zastosowań.

Co może zrobić tzw. „szary człowiek” jeśli ta troska jest jego udziałem, jeśli nie jest zadowolony z obecnego „duchowego środowiska człowieka”? Chyba tylko to: być autentycznym świadkiem wiary. A to oznacza starać się przywracać blask cnocie i prawdę słowom. Oczywiście nie przywracać „na świecie”, ale w swoim własnym życiu.

Napisałem „blask cnocie” i poczułem się nieswojo. Jakim językiem ja mówię? Od takich słów z daleka czuć zapach naftaliny. Właśnie: to, że nie możemy użyć słowa bez cudzysłowu, bez grzecznościowego dystansu w najlepszym przypadku, świadczy nie najlepiej o sytuacji duchowej naszych czasów. Przecież to słowo miało kiedyś aureolę.

W tym felietonie chciałbym przypomnieć cnotę „prostą i łatwą”, cnotę radości.

Przywracać prawdę słowom też trzeba zacząć od najprostrzego kroku: jasnego mówienia. Używać słów raczej „mniejszych” niż „większych”, słowa pełne sensu same będą rosły – takie byłoby

pierwsze sposobem belferskim ujęte zalecenie.

Ten aspekt naszego mówienia i dyskusji, nie tylko teologicznych, ale także niektórych kazań niedzielnych, z niesłychaną trafnością uchwycił K.G. Chesterton. By odwołać się do przykładu: *życie cynobityczne*, zamiast; *życie wspólnotowe*, lub: *genialna wolnościowa myśl franciszkańska*, zamiast: *świadectwo św. Franciszka*.

A oto Cherteston:

Jeśli swoją wypowiedz zaczniemy od słów; Wszyscy kryminolodzy doceniają społeczną użyteczność bezterminowych wyroków upatrując w nich krok na drodze socjologicznej ewolucji ku bardziej humanitarnemu i naukowemu podejściu do problemu kar, to z powodzeniem możemy godzinami ciągnąć swój dyskurs bez konieczności odwołania się do naszych szarych komórek. Jeśli jednak nasze wstępne zdanie brzmieć będzie: Jones powinien iść do więzienia, a Brown powinien powiedzieć, kiedy Jones ma stamtąd wyjść, to ku własnemu przerażeniu zorientujemy się że musimy myśleć. Długie słowa są wyjęte z ładunku treściwego, to właśnie zwięzłość przydaje im mocy. W wykrzykniku „*Do diabła!*” Zawiera się o wiele więcej metafizycznej subtelności niż w terminie „*degeneracja*”.

Dlatego pewnie tak nas olśniewają teksty, które uwalniają pierwotną moc słów. Dla mnie takim olśnieniem jest publicystyka Hanny Malewskiej. Główny kanon jej publicystyki zawdzięczamy Andrzejowi Sulikowskiemu, który zebrał po różnych czasopismach rozproszone teksty w jeden tom: o odpowiedzialności i inne szkice (*Hanna Malewska: O odpowiedzialności i inne szkice, oprac. A. Sulikowski, wyd. Znak 1987*).

Hanna Malewska zmarła w 1983 r. Znakomita pisarka polska, znana jest przede wszystkim jako autorka świetnych powieści historycznych. Mniej znana jest jej publicystyka, choć jest to publicystyka najwyższej próby. Najmniej znany jest fakt, że Hanna Malewska była założycielką i wieloletnim redaktorem miesięcznika „Znak”, czasopisma, na którym wychowało się kilka pokoleń inteligencji katolickiej w Polsce. Umiała mówić o wierze nie czytując filozofów, choć oczywiście myśl filozoficzna chrześcijańskiej Europy była jej doskonale znana. W jej osobie wiara szukająca zrozumienia i rozum szukający wiary złączyły się w całość. Jak u św. Tomasza z Akwinu: wiara wieśniaka i wiara wyrafinowanego filozofa stały się identyczne.

Tyle informacji tytułem wstępu do zamieszczonego niżej krótkiego felietonu Malewskiej pt. „Radość Doskonała”:

Kiedy św. Franciszek mówił z bratem Leonem o radości doskonałej, w czasie wspólnej wędrówki z Perugii do Asyżu, brat Leon zdumiewał się. Jak to, więc nawet łaska czynienia cudów nie jest radością doskonałą? Nawet znajomość wszystkiego, co jest w Niebie i na ziemi? Ani nawrócenie do Chrystusa wszystkich pogan taką wymową, jakby to sam Pan mówił przez usta nasze? „Nie bracie Leonie, owieczko Boża”. – Więc cóż?

Gdy przyjdziemy w zimną noc pod furtę klasztorną, głodni, bosi, zziębnięci, a furtian nie otworzy, lecz z gniewem powie: „opryszki jakieś jesteście, a nie bracia nasi” – i dalej trzeba będzie stać, znosić głód i chłód; i to że miłość naszą wzięto za podstęp, obłudę – stać i czekać aż ranek wybieleje... – To jest dopiero bracie Leonie radość doskonała.

Prostoduszny brat Leon, nim doszli jeszcze – zrozumiał. Wszyscy bracia zrozumieli, powtarzali tę rozmowę napełnili nią świat, który przebiegły wszerz i wzdłuż ich bose stopy.

Lecz warto może raz jeszcze wejrzeć w tajemnicę, która dla nich była zbyt trudną tajemnicą: że radość doskonała jest w doskonale zniesionym cierpieniu – i zapytać, o jakim to właściwie cierpieniu była mowa na drodze z Perugii do Asyżu?

Święty Franciszek był poetą; był z ducha błędnych rycerzy średniowiecznego chrześcijaństwa. Bezbronny stawiał czoła sułtanowi, chciał samoofiary misjonarzy w miejsce boju krzyżowców. Ogołocił się ze wszystkiego i zniósł mękę stygmatów. I on, i bracia jego przecierpieli w życiu o wiele więcej niż chłód jednej nocy i burkliwość jednego zaspanego furtiana, wielu poniosło męczeństwo, więcej jeszcze gotowało się na nie przez całe życie.

A jednak ojciec franciszek idąc z bratem Leonem kamieńistą ścieżką Umbrii nie męczeństwo, nie trudy misyjne, nie gniewy sułtanów nazwał radością doskonałą. Ale niewielkie właściwie utrapienie. Nie dające nic wyobraźni, nie żądające na pozór wielkiego męstwa. Wszelką strawę zabierającą pysze. Takie, które się może zdarzyć każdemu i co dzień.

„Gdy to zniesiemy bez szemrania...” – radość każdego dnia może być doskonała.

Znieść ochotnie krzywdzące słowa – te najdotkliwsze od swoich – uśmiechnąć się do listopadowej pogody, mieć cierpliwość wobec słabości własnych poranionych nóg i łaknącego drżącego ciała, w milczeniu wyczekać ranka. To wszystko – w imię Chrystusa – dziś jutro i kiedykolwiek się przydarzy. I właściwie nic nadto, bracie Leonie, nie potrzeba.

Wspólna droga z Perugii do Asyżu wystarczyła, aby brat Leon zrozumiał świętego rozmówcę.

Czy my po prawie ośmiu wiekach od tamtej rozmowy, uzbrojeni w analityczne szkiełko i oko „nowoczesności”, znający doskonale różnicę między chrześcijaństwem „starym” i „nowym”, rozprawiający z niekrępującą się pewnością siebie o wolności, godności, powrocie do źródeł, naprawdę rozumiemy świętego Franciszka? Czy rozumiemy choćby tak, jak nie mający kursów uniwersyteckich, ale pragnący czynić dobrze, brat Leon? Czy przypadkiem nie redukujemy świętego Franciszka do naszych celofanowo-sterylnych wyobrażeń, w których nie ma miejsca na cierpienie? Czy nie zalewa nas wielosłowie? A przede wszystkim: czy potrafimy postawić na serio pytanie brata Leona o radość doskonałą, kiedy dbamy jedynie o przyjemności?

Stefan Król, mieszkający w London, Ontario, zmarły w 2015 r. kanadyjski fizyk i felietonista.

Za udostępnienie materiałów dziękujemy żonie autora, pani Mariannie Król z Kanady.

Zobacz też:

Mały słownik staropolskich obyczajów wielkanocnych

Z rodzinnego albumu.
Z duchami w tle.



Rynek w Hrubieszowie na dawnej pocztówce

Teresa Fabijańska-Żurawska (*Łańcut*)

Wszędzie było bardzo niebezpiecznie. Na wsiach, zwłaszcza w dworach polskich każda noc była niepewna, pełna lęku.

Przychodzili zbrojni partyzanci po prowiant, ale nigdy nie było wiadomo, którzy na ten raz – swoi czy obcy, akowcy czy upowcy. Wezmą dobrowolnie czy siłą i czy z życiem zostawią?

Rodziny z dziećmi poprzemigrowały się do miasteczka, zajmując puste domy po Żydach. Lila z dziećmi też się przeniosła. Wacek wynajął dla nich pół drewnianego domu, bardzo sympatycznego, przy ulicy Chełmskiej, koło starej szkoły. Oba zabytki stoją do

dzisiaj. Sam dzielnie wytrzymywał. Jako właściciel majątku ziemskiego Wiszniów pod Hrubieszowem, był znakomitym gospodarzem i fachowcem. Dzięki niemu i my od czasu do czasu otrzymywaliśmy coś z dóbr. Bardzo dbał o rodzinę i szalenie kochał swoje śliczne dzieci – Ijunię (Marylę) i Eniego (Andrzeja).

Na naszym przedmieściu pojawiło się kilka rodzin przybyłych z Poznania i z Warszawy. Natomiast wyjechali Wojtysiakowie, właściciele domu, w którym mieszkaliśmy, chyba dlatego, że on był granatowym policjantem. Do ich mieszkania przyjechała gromadka dzieci państwa Andrzeja i Marii Komornickich i syn państwa Szuldrzyńskich z opiekunką, starszą, nobliwą panią. Przywieziono ich końmi z odległego o 17 km majątku Mircze. Najstarsza Enia – moja rówieśnica i czterech chłopców: Iko, Tunio, Boba i Zyg – w kolejności urodzenia – dostarczali mnie i bratu Julkowi wielu przeżyć i wspomnień.

Ot, chociażby niezwykle obchodzony dzień św. Mikołaja. Przyznam, że z taką tradycją, jeśli to tradycja, nie spotkałam się nigdy i nigdzie. Każde dziecko otrzymało jako prezent coś w rodzaju przebrania na głowę, charakteryzującego jego wadę, np. Boba dostał ośle uszy, pięknie wykonane z papieru i bibuлки, zapewne przez guwernantkę. Iko – długi język przyczepiany co brody, a Tunio – knebel. Co dostała Enia, co my oboje z bratem? – nie pomnę. Oczywiście wszystkie dzieci dostały woreczki z pierniczkami, Mikołajem i słodyczami domowej, dworskiej

kuchni. Byliśmy uszczęśliwieni i pamiętamy to zdarzenie do dzisiaj.

W końcu sierpnia, w piękne lato 1943 r. przysłano po nas konie z Mircza. Pojechaliśmy na proszony obiad do dworu. Pewnie była to jakaś szczególna okazja, ale nie wiem jaka. Może imieniny pani Marii Komornickiej w Matki Bożej Częstochowskiej? – Podjechaliśmy pod duży, piętrowy budynek, który nie przypominał w niczym polskiego dworu, raczej miejską kamienicę. Powiedziała mi Enia, że stary dwór spalił się chyba podczas I wojny światowej, a to był budynek administracji majątku. Mieszkała tam, mimo niebezpieczeństwa, pani Kisielnicka, matka pani Komornickiej i ona była główną gospodynią, podejmującą małych gości. Zasiedliśmy przy dużym stole w obszernej jadalni na pierwszym piętrze. Otaczał nas ogród, park ze starymi drzewami, które zawsze uwielbiałam. W jadalni panował przyjemny chłodek, otwarte były szeroko okna. Wnoszono potrawy zaczynając podawanie ode mnie. Nie bardzo zdawałam sobie sprawę z tego co to znaczy i przy deserze popełniłam „faux pas”, nakładając ogromną porcję kremu, który w wojennej rzeczywistości był czymś nadzwyczajnym i mogło go zabraknąć dla innych. Julek słusznie był oburzony i zawstydzony moim brzydkim zachowaniem. W domu naskarżył na mnie do mamy i powiedział, że przyniosłam mu wstyd i więcej ze mną nigdy już nie pojedzie. I nie pojechał, bo nie było okazji. Czułam się okropnie. Jaka egoistka! To była nauczka na całe życie.

Dla wypełnienia czasu wieczorami, w okropnie długie, zimne zimy i aby mieć kontakt z ludźmi urządzało się „herbatki” bez herbaty. Piło się napar z suszonych skórek jabłkowych, wiecznie zalegających na kuchennej płycie, które dawały bardzo przyjemny zapach w całym domu. Nie daj boże, gdy się spaliły!

Gości częstowano niezmiennie sałatką jarzynową z dużą ilością gotowanych ziemniaków, buraczków ćwikłowych, marchewki i małej fasoli. Miała różowawy kolor bardziej lub mniej mocny, w zależności od ilości śmietany. Niektóre panie dawały ogórek kiszony, zdecydowanie zaostrzający smak. Luksusem okupacyjnym był fasolowy tort, polska specjalność od Warszawy po Hrubieszów. Robiło się też „cukierki” na czas świąteczny z mielonych płatków owsianych, masła, cukru i jeśli było kakao, obtaczano w tym specjale. Formowane na dłoni kuleczki wielkości orzechów włoskich, należało potrzymać na zimnie. Czegoż to ludzie nie wymyślili, żeby życie przybliżyć do normalności!? „Herbatki” sprzyjały kontaktom, zdobywało się wiadomości z frontu, czytało się podziemne gazetki. Były też wieczory poezji, seanse spirytystyczne, czasem potańcówki przy patefonie i przedwojennych płytach. Chociaż w naszym domu była gromadka młodzieży, mama nigdy na tańce nie pozwoliła uważając, że na taką rozrywkę czas nie jest odpowiedni. Jednak pomogła Jasiowi Piątkowskiemu zorganizować bal karnawałowy

w Czumowie, na który pojechała Ela.



Mama Eleonora de Schmieden-Kowalska w czasach panieńskich na balu w Czernichowie w stroju Greczynki

Przygotowania do tego balu nad balami odbywały się wieczorami u nas i trwały dość długo ponieważ robiło się ręcznie śliczne, kolorowe, pracowite kotyliony. Czy dzisiejsza młodzież wie co to takiego? – Z lśniących wstążek zakupionych u Gajzera, z mini figurek gipsowych czy artystycznych główek wykonywało się identyczną parę ozdób różnych kształtów i pomysłów artystycznych, które wybierały panie osobno, panowie osobno. Los szczęścia lub pech łączył dwa identyczne kotyliony w parę, która obowiązkowo musiała przetańczyć „kotylionowego walca”, a mogła i resztę tańców przetańczyć razem, jeśli się poszczęściło. Pamiętajmy jednak, że do dobrych manier wychowania towarzyskiego należało zatańczyć chociaż jeden taniec z każdą panną. Nie było więc „skrobiących pietruszkę”, nie było też zwyczaju, aby panny tańczyły ze sobą lub indywidualnie. Te zwyczaje wzięły się już grubo po wojnie, chyba z braku partnerów. Kotyliony były atrakcją pełną emocji, zwłaszcza w momencie odkrywania losowego partnera i pamiątką, która zostawała po balu wraz ze wspomnieniami. Eli kotylion, bardzo piękny, długo plątał się w szufladzie, a przedstawiał diabełka z widłami na czerwono-czarnej wstążkowej rozecie.

W przeddzień balu smażyono u nas pączki tzn. robiła je moja mama, a my niby pomagaliśmy. Ileż to było emocji z powodu ciasta, które najpierw nie chciało rosnąć, a potem rosło zbyt szybko. Nie wolno było chodzić, ruszać się, a nawet głośno mówić, bo to wszystko miało wpływ na udane lub nie udane,

drożdżowe ciasto. Udało się wspaniale, choć lukier robiony w Czumowie zgrzytał pod zębami z powodu nowej donicy (makutry), która puściła rdzawą mączkę.

Dzisiaj myślę, że te przygotowania dały nam więcej radości niż sam bal w pałacu, pełnym niemieckiego wojska. Tyle, że granica na Bugu zimą 1942 r. już nie istniała. A Jaś zaraz potem wyjechał do Lwowa na Politechnikę. Latem pojechała do Czumowa ciocia Milusia z Warszawy i my z Julkiem po kolei spędzaliśmy tam wakacje. Niestety, nie były już takie, jak te sprzed wojny.

Po tym sławetnym balu, zaczął u nas bywać kolega Jasia – Henryk Podwiński zwany Bocianem (może to był pseudonim partyzancki?). Pojawienie się tego drągala, blisko dwumetrowego, ożywiło na jakiś czas życie towarzyskie w naszym domu. Pełen humoru, dowcipnych pomysłów zabawiał nie tylko młodzież, np. wykorzystując swoją sylwetkę do chińskich cieni, które prezentował za pomocą szczotki do zmiatania podłogi, kapelusza i płaszcza. Czarne, okupacyjne zasłony na okna doskonale spełniały rolę ekranu, a przy migotliwym, nikłym świetle lampy naftowej, odbijająca się sylwetka dawała złudzenie ruchu. Heniek grał tajemniczego mężczyznę, który rósł w oczach, kapelusz balansował na kiju, a ramiona unosiła szczotka, oczywiście niewidzialna pod płaszczem. Gibał się, pochylał, rósł i malał karykaturalnie, a my pękaliśmy ze śmiechu. Od czasu, gdy wstąpił do AK słuch po nim

zaginął Poszedł do lasu przygotowywać się do walki o Polskę.
Podczas tej wojny wyginęła nasza najwspanialsza młodzież.
Niepowetowane straty!

W tym czasie, w środku wojny, cała nasza czwórka uczyła się. To, mimo wszystko, były najspokojniejsze dla nas lata (1942-43) i kontakt z ojcem był nieprzerwany. Tata przysyłał nam swoje paczki z PCK (Portugalskiego Czerwonego Krzyża), w których bywało kakao, czekolada, kawa, chałwa, jakieś szprotki czy sardynki, coś z ubrania wojskowego np. ciepłe skarpety dla chłopców czy uniwersalne podkoszulki. Część tych prowiantów mama sprzedawała, aby uzyskać grosz na opłaty i opał, część zostawiała dla nas.

Kiedy było w miarę normalnie, mama starała się o kontakty towarzyskie dla starszego rodzeństwa. Przychodzili do nas z wizytą państwo Iwaszkiewiczowie z Poznania. Pani w wieku mamy, czyli średnim, bardzo miła, inteligentna i rozmowna oraz dwoje dorosłych prawie dzieci: starsza Jasia i młodszy nieco, bardzo przystojny Romek. Wtedy po podwieczorkowej herbatce, przygotowywało się okrągły stół bez gwoździ, papier wycięty na kształt stołu z amerykańskiej do bilansów dla księgowych, na którym w krąg wypisane były ołówkiem wszystkie litery alfabetu, cyfry od 0-9, chyba rzymskie i dwa słowa na średnicy koła: „tak” i „nie”. Do tego konieczny był talerzyk średniej wielkości z zaznaczoną wyrażenie strzałką.

Dorośle osoby, przeważnie w liczbie 6-7 siadały ciasno wokół stolika trzymając opuszki palców na odwróconym talerzyku. Zewnętrzne palce musiały stykać się ze sobą. Wybierano medium i zaczynał się seans spirytystyczny czyli wywoływanie duchów. Niesamowita atmosfera skupienia, kompletna cisza, prawie ciemno, tylko dwie świece choinkowe, konieczne do odczytywania odpowiedzi. Twarze pełne napięcia, ledwie rozpoznawalne. Ja w kącie na kufrze pełna strachu, ale i ciekawości.

- Duchu, duchu, przybądź. - Duchu, ducha, czy jesteś? - talerzyk zaczyna wyprawiać brewerie, jeździ po całym papierze, wreszcie trafia na słowo „tak”. - Duchu, duchu, kim jesteś? - „P I Ł S U D S K I”. - Duchu marszałka powiedz nam, kiedy skończy się wojna?

I tu następowała konsternacja, bo nigdy odpowiedzi nie były zadowalające, a wręcz później posądzano, że ktoś za mocno ciągnął za talerzyk. No i tak pewnie było.

Zadawano kolejne pytania śledzono odpowiedź, która wcale nie była ani jednoznaczna, ani łatwa do poskładania z poszczególnych liter. Czasem wszystkie odpowiedzi były tak zagmatwane, tak niezrozumiałe, że mama pojawiała się z zakamarków kuchni, bo nigdy nie brała w tym czynnego udziału i przerywała posiedzenie proponując np. kisielek. Oznaczało to:

koniec seansu.

Była zima 1942 r. Wszyscy pragnęli zakończenia wojny i to jak najszybciej, na najbliższą wiosnę. Pamiętam dobrze, bo szok był niesamowity – duch wskazał „maj 1945”. Nikt nie uwierzył.

Za sprawą ducha dowiedzieliśmy się także kiedy wróci ojciec. Strzałka powoli, ale bardzo zdecydowanie i wyraźnie wskazała „14 czerwca 1945”. Znowu nie uwierzyliśmy, a nawet była dyskusja czy prawidłowo odczytano, czy to nie matactwo jakieś z talerzykiem. Było to przecież niemożliwe. Znowu szok, bo data była precyzyjna! – I cóż powiedzieć? – męczyliśmy duchy dla własnej niecierpliwości i z ciekawości, a i tak nie dawaliśmy wiary. Słusznie kościół katolicki zakazuje. Nie wolno tego czynić. Pierwszy to był i ostatni raz.



Jaś (Jan) Piątkowski ur. 1922 r. syn Józefa i Marii z de
Schmieden-Kowalskich. Po śmierci matki był odpowiedzialny
za gospodarkę Czumowa.



Lila (Maria Piątkowska). To jej ślub w Hrubieszowie w 1938 r. z Wacławem Banaszkiewiczem. Byli właścicielami Wiszniowa.

Jan Piątkowski miał w pałacu duży pokój, gosposię i czasem tam bywał. Studiował we Lwowie na Politechnice i został konstruktorem statków. Całe życie przepracował w stoczni gdańskiej, jako inżynier-konstruktor. Lila Piątkowska i Wacław Banaszkiewicz mieli pięcioro dzieci: Maryla – Maria (Ijunia), Andrzej (Eni), Zosia (zmarła w dzieciństwie), Maria i Jan. Żyje troje: Maryla w Bielsku-Białej, Andrzej w Gliwicach i Jan w Krakowie.

W małym Hrubieszowie świetnie pracowała kilkunastoosobowa grupa pracowników Polskiego Czerwonego Krzyża (PCK) ze wspomnianym doktorem medycyny Władysławem Kuczewskim z Kryłowa. Eli zadaniem m.in. była opieka nad polskimi jeńcami przebywającymi zarówno w Oflagach, jak i w Stalagach niemieckich. Przychodziły listy z adresami konkretnych osób i tym zgłoszonym wysyłało się imienne paczki żywnościowe, zwłaszcza przed świętami katolickimi.

Organizowana akcja musiała mieć charakter konspiracyjny i angażować nie tylko osoby pewne i zaufane, ale i chętne do działalności charytatywnej. W skład każdej paczki wchodziły cwibaki, takie wysokokaloryczne suchary, które piekła prywatna

piekarnia na ul. Kilińskiego (dzisiaj budynek ten już nie istnieje). Ciasto z białej, pszennej mąki zawierało dużo jaj, było dość pulchne i słodkawe. Formowało się najpierw ogromny placek, potem kroilo w prostokąty wielkości standardowych sucharów, pieczonych dla wojska. Żeby pulchne ciasto nie puchło, trzeba było je równymi rządkami nakłuwać widelcem. Cała nasza rodzina chodziła pomagać do piekarzy przygotowywać je. Prace szły taśmowo i w ścisłej kolejności, partiami na bieżąco i do pieca. Moim zadaniem było nakłuwanie. Właziłam po stołku na wysoki, piekarski stół i dziurkowałam. Jednak Julek robił to dużo szybciej. I dobrze, bo tych sucharów było dużo. Piekarnia piekła je całą noc. A my gdzieś tak, przed północą wracaliśmy chyłkiem do domu uważając, żeby nie natknąć się na patrol niemieckich żandarmów.

Drugi raz w życiu przeżyłam godzinę policyjną narzuconą Polakom przez generałów: Jaruzelskiego i Kiszczaka. Ta ostatnia, w stosunku do okupacyjnej była groteską, tyle, że bardzo irytującą. W kolejnych wspomnieniach opowiem moje silne przeżycie pierwszego dnia stanu wojennego z grudnia 1984 roku.

W okresie zimowych ferii (były tylko jedne dwutygodniowe od 23 grudnia do 7 stycznia) przygotowywaliśmy konspiracyjne „Jasełka”. Teksty pisane specjalnie, z aluzjami i podtekstami

politycznymi, służyły pokrzepieniu serc. Schodziliśmy się na próby do domu prywatnego przy ul. Szpitalnej. Dom pamiętam, nazwisk nigdy nie znałam. Przedstawienia odbywały się w największym modernistycznym pokoju, w przedwojennej willi. Mieściło się tam około 20 osób i improwizowana scena.

Oboje z Julkiem umieliśmy nasze role i wiersze, ale przy próbach opanowaliśmy wszystkie inne teksty i we dwójkę potrafiliśmy odstawić całe przedstawienie. Do dzisiaj płaczą się mi po głowie jakieś fragmenty. Dla przykładu: mała satyra na niemiecką biurokrację. Toczy się rozmowa: *...wiesz, gdzie drzewo wożą chłopcy? – urzędników tam z pół kopy. Każdy jest potrzebny wielce. Jeden kłania się butelce, a gdy ujrzy na dnie pusto, bierze się za rybołówstwo. A gdy pogoda zawiedzie, siadł przed biurkiem po obiedzie i... najmiłsza, najdroższa pani Wandeczko, pani moja jedyną sympatią. A mój wierszyk zaczynał się od słów: czy myślicie, że w lesie choinki nie będzie?*

Aktorką byłam marną, tylko wrodzona sumienność rekompensowała niedostatki talentu i pewnie tylko dlatego powierzano mi jakieś rólki. Zaowocowało to tym, że w dwa lata później sama zorganizowałam teatr podwórkowy u sąsiadów przy ul. Zamojskiej.

Układałam teksty nigdy nie napisane, uczyłam wymowy i gestów, żądałam dyscypliny, a wręcz posłuszeństwa, dobierałam role i

aktorów, urządzałam scenę i widownię oraz zapraszałam widzów.

TERESA-ZOFIA FABIJAŃSKA-ŻURAWSKA, emerytowany starszy kustosz Muzeum-Zamku w Łańcucie, jest historykiem sztuki ze specjalnością w dziedzinie pojazdów konnych.

Wspomnienia Teresy Fabijańskiej-Żurawskiej ukazują się w ostatni czwartek miesiąca.

Poprzednie części wspomnień:

Z rodzinnego albumu. Stara szkoła.

Z rodzinnego albumu. Wojna – ucieczka za Bug.

Z rodzinnego albumu. Hrubieszów.

Polskie siedziby rodzinne. Czumów.

Historia w karetach zaklęta

Kobiety, które inspirują

Rozmowa z aktorką Beatą Poźniak - inicjatorką wprowadzenia ustawy o obchodach Dnia Kobiet w USA, obowiązującej od 1994 r.



International Woman's Day, 1994 r., Beata Poźniak (w środku), Stevie Wonder, Akosua Busia, Tiana Betty Friedan, Doris Leader Charge, Julie Carmen i inni, fot. arch. Beaty Poźniak.

Joanna Sokołowska-Gwizdka:

Jak wspomina Pani Dzień Kobiet w socjalistycznej Polsce, w której Pani dorastała?

Beata Poźniak:

Dzień 8 marca kojarzył mi się, chyba jak nam wszystkim, z goździkami i pończochami, którymi kobiety w tym dniu były obdarowywane w miejscach pracy. Ciekawe czasy. Już jako nastolatka zauważałam, że kobiety bardziej elegancko się ubierały i były wyjątkowo docenione. Mówiło się do nich i o nich z szacunkiem. Pamiętam jak szłam do szkoły z tornistrem na

plecach, panie dostawały kwiaty od panów, czasami przypadkowo spotkanych na ulicy. Miło było zobaczyć zaskoczone i uśmiechające się kobiety dookoła... od milicjantki po panią w sklepie. Panie nauczycielki też dostawały kwiaty i ręcznie namalowane laurki. W „Dzienniku Telewizyjnym” mówiono jako *headline*, gdzie i w jakim kraju kobiety świętują 8-go marca. Wydawało mi się, że to bardzo ważne święto, skoro wymienia się wiele krajów i pokazuje tyle narodowości. Niezbyt jednak wtedy rozumiałam dlaczego tak jest. Dzień Kobiet kojarzył mi się z Dniem Matki, albo zbiorowymi imieninami. Potem już po studiach, jak wyjechałam do Stanów pytałam ludzi z ciekawości co tu się robi na 8 marca. Często spotykałam się ze zdziwioną miną. Po ich spojrzeniu od razu domyślałam się, że nie wiedzą o co pytam. Myśleli, że mówię o *Women's History Month* i z grzeczności mi przytakiwali.

Była Pani prekursorką wprowadzenia ustawy o obchodach Międzynarodowego Dnia Kobiet w USA. Proszę opowiedzieć, skąd pomysł, aby zainicjować taką ustawę?

Kiedy przyjechałam do Stanów Zjednoczonych potrzebne mi były wzorce kobiet imigrantek, które się przebiły i zostały docenione. Poszukiwałam nowej tożsamości. Było mi trudno oderwać się od korzeni, jako już dorosła kobieta po studiach i zacząć od nowa. Inaczej się zaczyna w nowym kraju jak się ma 5 czy 15 lat, wtedy łatwo znaleźć nowe koleżanki w szkole. Ja tego nie miałam i

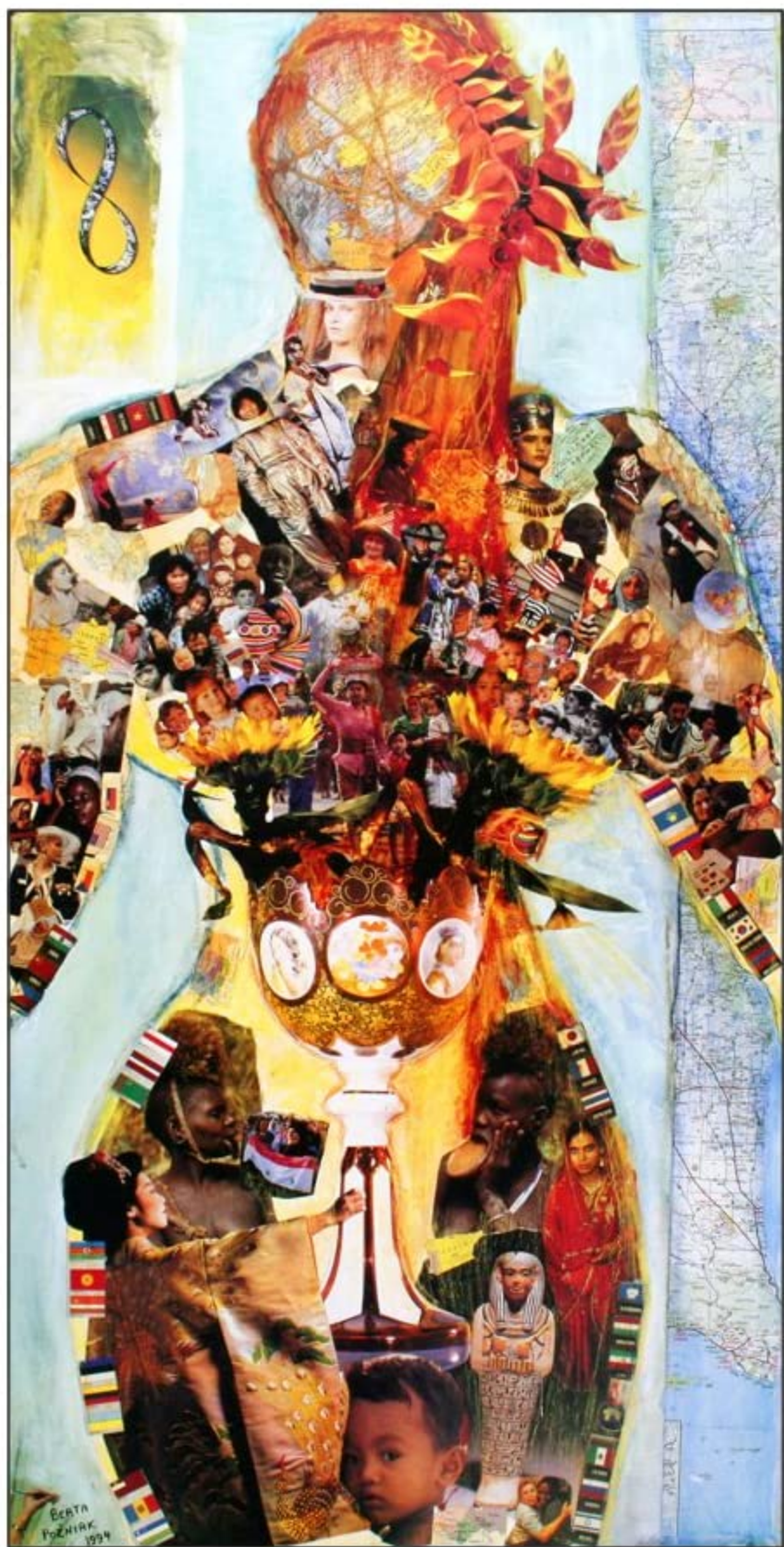
czułam się samotna, bez wsparcia na nowej ziemi. Zamknęłam się więc w bibliotece poszukując nazwisk, imigrantek, które by mnie zainspirowały. Wtedy nie było komputerów czy Internetu. Wertowałam więc książki i czasopisma. Jednak łatwiej wtedy można było znaleźć nazwiska mężczyzn, niż kobiet. Trochę byłam zaskoczona, bo w USA ciągle się mówi *we are the country of immigrants* (jesteśmy krajem imigrantów). No to gdzie te imigrantki?

Szukałam też ciekawych przyjaciół, kobiet, które inspirują. Pewna młoda reżyserka z Finlandii, powiedziała; *Ty na pewno będziesz miała "dobrą chemię" z naszą konsulową. Macie bardzo podobny charakter.* Niedługo potem dostałam telefon od Bitte Westerlund, pracującej dziennikarki, a jednocześnie żony konsula Finlandii, Jorna Donnera, z zaproszeniem. I tak po pół godziny znalazłam się u niej w domu. Rozmawialiśmy o wszystkim, od kultury i literatury po muzykę, tak jakbyśmy się znały całe życie.

Faktycznie, jak mówili ludzie dookoła, miałyśmy bardzo kolorowe usposobienie. Dużo rzeczy nas cieszyło i łączyło. miałyśmy tyle wspólnych tematów, od literatury, poprzez filmy, sztukę, aż po prawa kobiet. Wspierałyśmy malarki na ich wernisażach w galeriach i w muzeach, oglądałyśmy filmy o inspirujących kobietach, czy też reżyserowane przez kobiety.

Na 8 marca zrobiliśmy przyjęcie w luksusowym domu Bitte Westerlund i jej męża w Bel Air i zaprosiliśmy dostojnych gości z różnych krajów. Nie mogłam uwierzyć, że tylu obcokrajowców od Australii po Afrykę znało i cieszyło się z tego święta. Były kwiaty, muzyka i dużo ciekawych wspomnień.

Obraz namalowany przez Beate Poźniak w 1994 roku dla upamiętnienia wprowadzenia pierwszej ustawy w historii Kongresu USA (H.J. Res. 316) o uznaniu Międzynarodowego Dnia Kobiet w Stanach Zjednoczonych. Matka Pamięci - Mnemosyne - świętuje wkład kobiet z całego świata w prawa człowieka. Praca, będąca symbolem Międzynarodowego Dnia Kobiet, przedstawia społeczność wszystkich ras świata w kobiecym ciele. Przywołuje osiągnięcia kobiet w ich walce o pokój i równość w obliczu dyskryminacji i wojny.



BEATA POŹNIAK ■ MNEMOSYNE

I co było dalej?

Zainspirowana tym wydarzeniem postanowiłam zrobić głębszy *research* o korzeniach Międzynarodowego Dnia Kobiet. Okazało się, że pierwszym miejscem była Kopenhaga, która podjęła uchwałę w 1910 r. W Stanach takiego święta nie było.

Pomyślałam, dlaczego nie spowodować, aby to święto i w USA było oficjalnie uznane. Zaprosiłam więc do współpracy różne znane osoby, m.in. z Hollywood. Byli oni prezenterami jak Stevie Wonder, Miranda Richardson, Paul Sorvino (Mira Sorvino ojciec), czy Robert Wise, (reżyser, otrzymał Oscara za "West Side Story" i "Sound of Music") oraz goście honorowi – wiele kobiet różnych narodowości od Mitsuye Yamady, (w zarządzie American Civil Liberties Union, poetka), która była internowana w USA jako Amerykanka pochodzenia japońskiego w czasie II wojny światowej. Była ona też tzw. "Picture bride", w tamtych czasach to była taka tradycja wychodzenia za mąż. Do naszych działań włączyła się także Stefania Podgorska, Polka, która jako nastoletnia dziewczynka uratowała 13 Żydów, przechowując ich podczas wojny u siebie na strychu. (Na marginesie, właśnie byłam lektorką książki "The Light in Hidden Places" o jej życiu, wydanej przez Scholastic, napisanej przez Sharon Cameron, #1 New York Times i otrzymałam Earphones Award za najlepszą narrację. Reese Witherspoon wybrała tę książkę w swoim Book Club "Hello Sunshine").

Podobnie odnalazłam i zaprosiłam Irene Opdyke, Polkę – kolejną bohaterkę. Były też kobiety z krajów, gdzie w dalszym ciągu panuje upokarzająca tradycja FGM, polegająca na okaleczaniu dziewczynek (Female Genital Cutting), jak np. aktywistka Soraya Mire, która nam opowiadała o swojej osobistej historii. Dołączyła też do nas dzielna, mocna Diane Nyad, pierwsza kobieta która pobiła rekord świata w pływaniu

Zainspirowała Pani wiele osób. Ówczesny burmistrz Los Angeles Tom Bradley oraz gubernator Kalifornii Pete Wilson, wydali w tej sprawie oświadczenie, a kongresmenka Maxine Waters przedstawiła pierwszy w historii Stanów Zjednoczonych projekt ustawy (H.J. Res. 316) w Kongresie.

Tak, ale długo to trwało. Zaczęłam pod koniec lat 80., ale dopiero w 1994 roku napisałyśmy razem z członkinią Kongresu Maxine Waters ustawę, którą ona przeczytała w Kongresie. Nikt przedtem tego nie zrobił.

Za swoją działalność w kwestii praw kobiet nagrodzona została Pani przez burmistrzów Los Angeles zarówno Richarda J. Riordana, jak i Toma Bradley’a. Czym dla Pani było to wyróżnienie?

Jestem dumna z tego, że moja wizja i praca zostały docenione i

nagrodzone przez osoby, które reprezentowały różne opcje polityczne. Cieszę się, bo okazało się, że więcej nas łączy niż dzieli.



MAXINE WATERS

MEMBER OF
CONGRESS

35TH DISTRICT
CALIFORNIA

BANKING AND
FINANCIAL SERVICES
COMMITTEE

JUDICIAL COMMITTEE

March 8, 1999

Beata Pozniak
Women's Day USA

Dear Beata,

Congratulations! International Women's Day is once again upon us.

I am proud to have worked with you in the past to publicize International Women's Day; and, I look forward to joining women from all walks of life in honoring the energy, spirit and concerns of women across the globe.

My best wishes on this historic day.

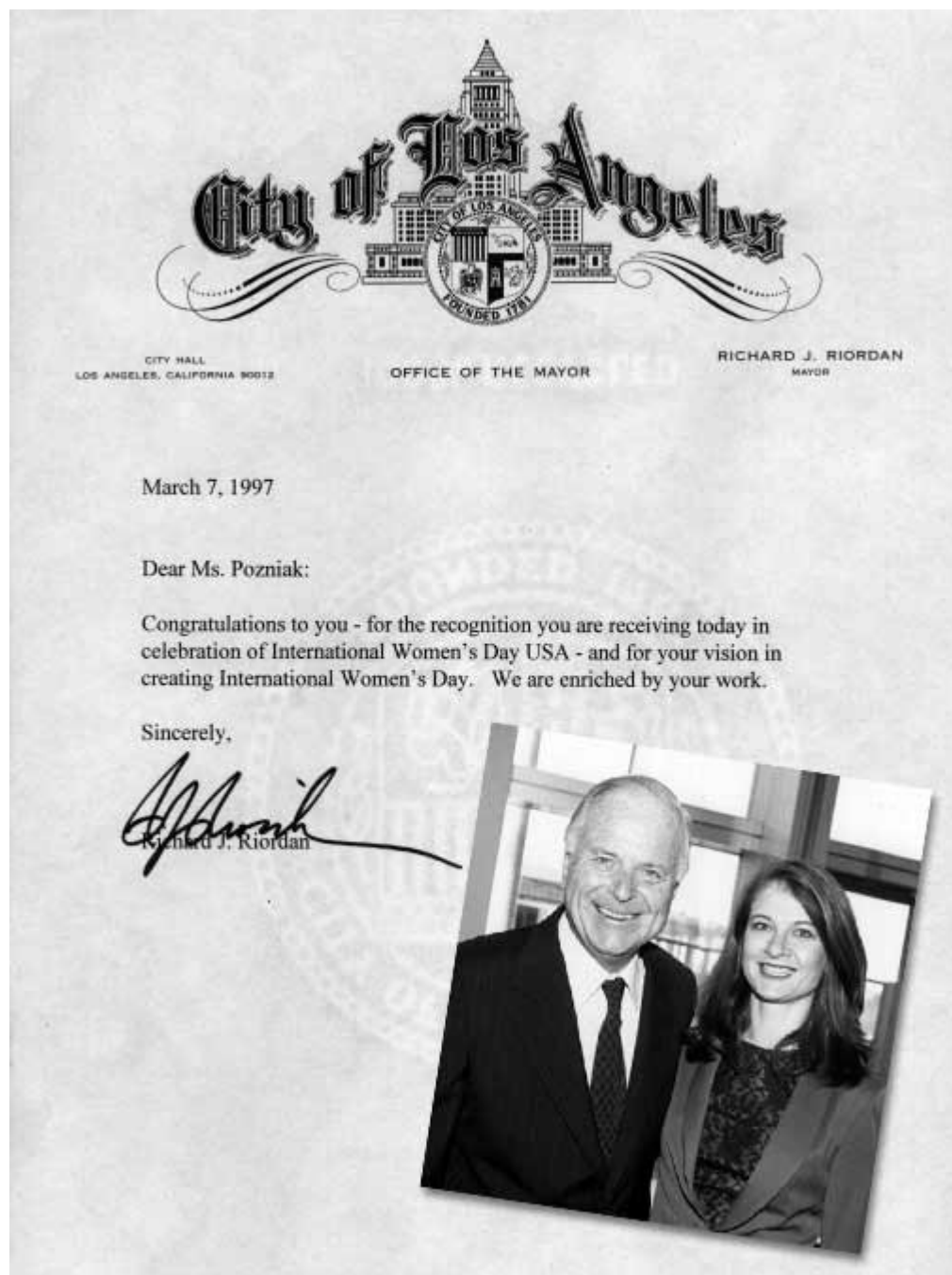
Sincerely,

MAXINE WATERS
MEMBER OF CONGRESS



List do Beaty Pożniak od Maxine Waters (członka Kongresu) z

8 marca 1999 r.



List do Beaty Poźniak od burmistrza Los Angeles Richarda J. Riordana z 7 marca 1997 r.

Założyła Pani Amerykański Komitet do spraw Międzynarodowego Dnia Kobiet oraz organizację pozarządową non-profit *Women's Day USA*. Organizację

również wsparło wiele osobistości ze świata politycznego i artystycznego, m.in. aktorka Diane Lane, adwokat Gloria Allred czy pierwsza kobieta w historii Kanady, która została premierem - Kim Campbell, wówczas konsul generalny Kanady w Los Angeles. Jaki cel ma ta organizacja?

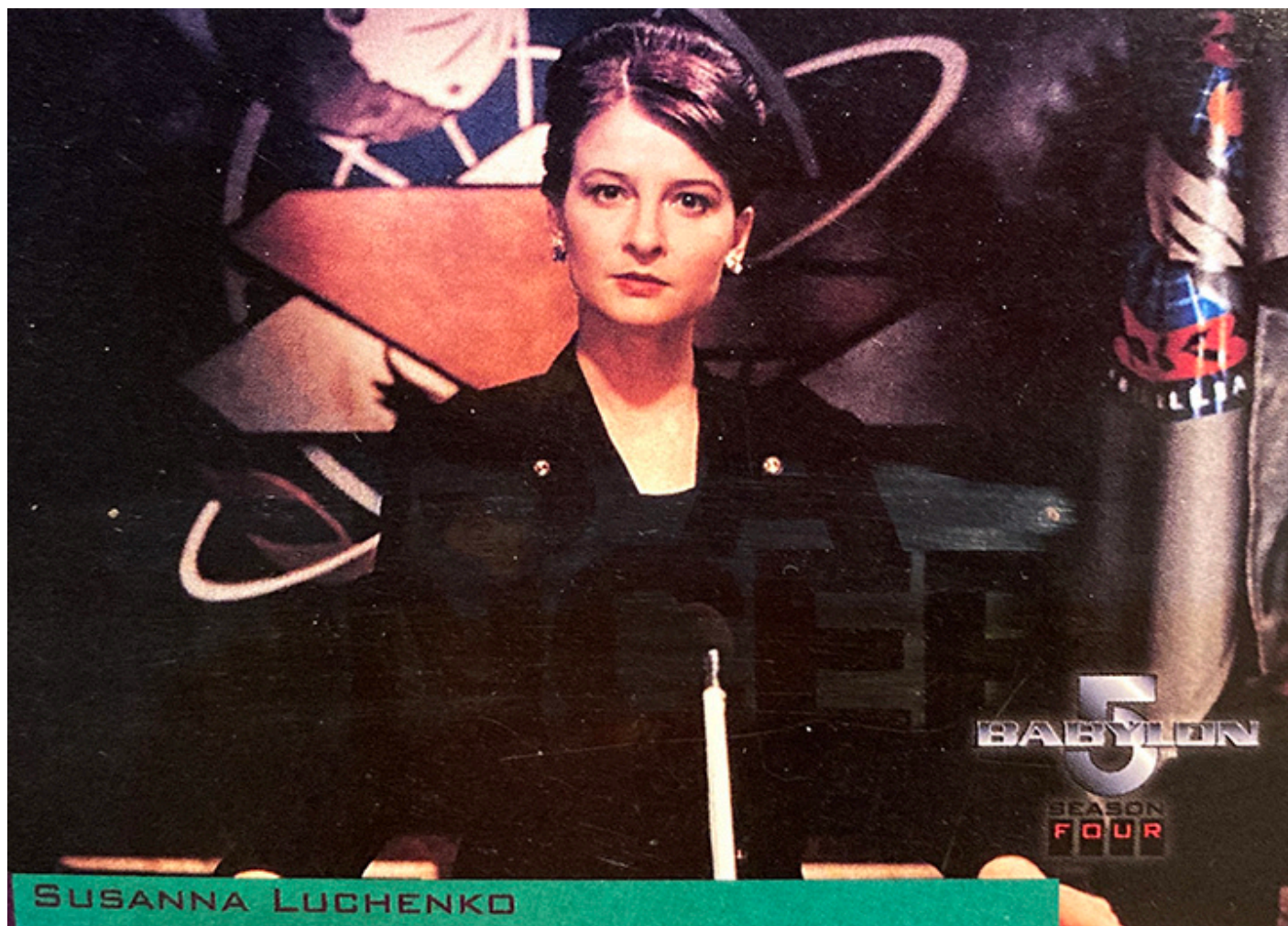
Women's Day USA miała na celu rozpowszechnienie Dnia Kobiet. Organizacja ma też za zadanie przekazać dalej nasze przesłanie, znaleźć imigrantki, które czymś się zasłużyły, dać je jako wzór dla innych kobiet, które tu przyjeżdżają. Ma też pokazać następnym pokoleniom, że można i trzeba działać.

Zagrała Pani wiele ról kobiet mocnych, zdecydowanych, które obalają stereotypy i zmieniają świat. W 1983 r. wystąpiła Pani filmie „Szczęśliwy brzeg” w roli dziewczyny, która chce zostać kapitanem żeglugi wielkiej. W Ameryce sławna się stała rola rewolucjonistki w „Kronikach młodego Indiany Jonesa”, a w filmie „Babilon 5” za rolę pierwszej kobiety Prezydenta Świata wytwórnia Warner Bros podała Panią do nagrody Emmy. Czy role, które Pani zagrała miały wpływ na Pani działalność społeczną, czy też odwrotnie, wybiera Pani takie role, gdyż są one zgodne z Pani dążeniami i charakterem?

Wybieram role kobiet skomplikowanych, lubię ich niewydeptane

drogi, coś jest świeżego w ich myśleniu i walce o przetrwanie. Ciekawią mnie role, które jeszcze nie były zagrane. Kobiety, które mają coś do powiedzenia, mają inne spojrzenie na świat. Projekt i rola muszą mieć jakieś przesłanie. Fascynowała mnie rola Ofelii w "Hamlecie we wsi Głucha Dolnej" Ivo Bresana. To był tzw. "półkownik" (projekty filmowe, które leżały na półkach). To był ostatni mój projekt przed wyjazdem z Polski w 1985 roku. Zobaczyłam go dopiero po latach, kiedy zaliczono ten projekt do "Złotej Setki Teatrów TV". Rola dosyć intensywna, szczególnie zapamiętana scena kiedy Ofelia dostaje obłędu. Była to ciekawa przenośnia tamtych czasów, kiedy ludzie walczyli o przetrwanie.

Gdy byłam na drugim roku studiów, w 1983 r. dostałam rolę Poli w filmie „Szczęśliwy brzeg” u boku Jerzego Bińczyckiego. Nie ukrywam, bardzo mnie ona interesowała. Młoda uczennica, która chce zostać kapitanem żeglugi wielkiej, martwi się, czy przyjmują kobiety do Szkoły Morskiej. Nie wie jakie będą jej losy. Kobiety muszą się zastanawiać czy mogą na przykład wstąpić do wojska albo do marynarki. Ciekawy problem, prawda?



Beata Poźniak jako Susanna Luchenko, w filmie „Babylon 5”
Jak przyjechałam do Stanów, propozycja zagrania roli Irene u George’a Lucas’a była skomplikowanie fantastyczna – „The Young Indiana Jones Chronicles – Russian Revolution 1917” oparta na faktach rosyjskiej rewolucji. Zagrałam studentkę, która usiłuje obalić rząd w tych czasach. Przypomniały mi się czasy w Polsce, kiedy spaliśmy na podłodze w czasie stanu wojennego w szkole filmowej. Na studiach człowiek czuł się bojowy i był gotowy na wszystko. Wykorzystałam wiele z moich osobistych doświadczeń z tego okresu.

Kiedy informacja na temat mojej działalności na rzecz

Międzynarodowego Dnia Kobiet “poszła w świat”, dostałam zaproszenie na spotkanie z producentami “Babylon 5”. Była to rola pani prezydent. Jak mnie zobaczyli osobiście, jakoś im nie pasowałam, wyobrażali sobie kogoś z wyglądu bardziej dojrzałego, kogoś kto by im przypominał Margaret Thatcher. Ale skoro i tak już byłam, zapytałam dlaczego mnie zaprosili, jak widzieli tę rolę, a także co myślą o prawach człowieka i tak dalej. Po poł godzinie “intelektualnej” rozmowy zmienili tę rolę, dopasowując ją do mnie. I tak powstała postać Prezydent Susanny Luchenko.

Jak teraz obchodzi się międzynarodowy Dzień Kobiet w Ameryce?

Przede wszystkim obchodzi się to święto w Białym Domu. Przed moją propozycją wprowadzenia oficjalnej ustawy w 1994 r. nie było żadnego dokumentu, że ktoś nawet usiłował taką ustawę zaproponować. Ale po ukazaniu się artykułu o mnie w „Los Angeles Times” zrobiło się na ten temat głośno i wiele szkół, uczelni, kobiecych organizacji zapraszało mnie na ich spotkania. Cieszę się, że już miliony Amerykanów podchwyciło pomysł i wspiera to święto – od Barbra Streisand po Lady Gagę, nie mówiąc o Białym Domu czy tysiącach uczelni, takich jak UCLA oraz prestiżowych organizacjach kobiecych jak Equality Now, które wspiera Meryl Streep czy Emma Thompson. Daje mi to ogromną satysfakcję. że nasiona które zasiałam przyjęły się i

kwitną.



*Certificate of Recognition
is hereby presented to*

Beata Pozniak

On behalf of the City of Los Angeles and the residents of the 13th Council District, I would like to recognize you for your continued activism and humanitarianism. Over the years, you have demonstrated how those with successful careers in the arts can lend their voices to raise awareness for important causes. Your advocacy through the arts and philanthropic works is a testament to your effectiveness as an actress and citizen.

Best wishes on continued growth and success!



DATED 19th OF MAY, 2019

Mitch O'Farrell

Mitch O'Farrell
Councilmember, 13th District
City of Los Angeles

Taking Up the Banner for Women Everywhere

■ **Causes:** Beata Pozniak is trying to get the same kind of recognition for International Women's Day here as she remembers from her childhood in Poland.

By DUANE NORIYUKI
TIMES STAFF WRITER

It was one of many periods of rage and chaos in Poland, and lives were being swept away by tides of political turmoil. With no way to chart a course, Beata Pozniak, with the willingness of a child, raised sail and awaited the wind of dreams.

They carried her first to England with her parents, then back to Gdansk with only her mother and, finally, alone to America. It has been an incredible journey that has taken her to stage and film; to the founding of a performance art company, Theatre Discordia; to sculpture and painting; and—in all endeavors—to poetry.

"I sometimes feel like a sailor," she says, "going from port to port, seeing what there is to learn and explore, then moving on."

She left Poland wanting to distance herself from politics, but the winds would not allow it. In 1991, the year before she became a U.S. citizen, Pozniak embarked on a mission to bring national recognition to March 8, International Women's Day.

Tonight at an event hosted by Pozniak, Finnish journalist Bitte Westerlund and her husband, Finland's Consul General Jorn Donner, at their Bel-Air home, representatives of government, entertainment and youth will honor accomplishments and address issues of concern to women worldwide.

As a child in Poland, Pozniak says, she remembers March 8 as a day when boys would present young girls with cards and flowers, symbols of respect. There would be stories in the media and discussions in the classrooms about women's history.

She was surprised when she came to the

United States in 1988 to discover that the day went largely unnoticed. Pozniak lobbied for and eventually received proclamations from then-Mayor Tom Bradley and Gov. Pete Wilson and has since made her way up the chain of command.

She wrote to U.S. Rep. Maxine Waters (D-Los Angeles), who in 1994 helped sponsor a bill calling for official recognition of the day. In February, Waters wrote a letter to President Clinton requesting a proclamation.

The wind has carried Pozniak in many different directions, but it blows especially strong in the direction of freedom and justice. She is driven by memories of midnight, Dec. 13, 1981. The cold was made more bitter by the lingering heaviness of teargas, by the tanks and police filling the streets. When

martial law was imposed, Pozniak was a student at the Film School in Lodz and a supporter of Solidarity.

"The police would stop you on the streets and say, 'Show me your hands.' If they were even a little dirty, you would be imprisoned because it meant you were throwing stones."

In the darkest of memories she remembers the death of a strong, gentle priest, Father Jerzy Popieluszko, the man who gave her the required documentation to live in Warsaw, the theatrical hub of Poland. Popieluszko, a charismatic Solidarity supporter, was murdered for his convictions in 1984.

In 1988, Pozniak came to Los Angeles to attend the American Film Institute Film Festival, representing "Chronicles of Love Affairs," which she had starred in but had never seen. The wind never blew again toward Poland.

She landed the part of Marina Oswald in Oliver Stone's "JFK," and while filming in Dallas was reunited with her father, a surgeon, whom she hadn't seen since the 1970s, when he refused to return with his family to Poland from England. It was too late, she says, for him to be her father, but he agreed to sponsor her so she could become an American and pursue acting. Pozniak has since appeared in "Melrose Place" and "Mad About You."

Her work for International Women's Day has focused on honoring women in all walks of life, including Native American Doris Leader Charge, who consulted for and performed in "Dances With Wolves."

International Women's Day has been recognized around the world since 1913, when it was founded in Copenhagen. Pozniak, a Los Angeles resident, is forming the U.S. Committee for International Women's Day.

She hopes the day soon will be recognized in schools, where she learned about women's rights and where young dreams await the wind.



CAROLYN COLE / Los Angeles Times

Beata Pozniak learned about International Women's Day in school in Poland.

Linki:

Stefania Podgórska

Recenzja: <https://www.audiofilemagazine.com/reviews/read/171224/light-in-hidden-places-by-sharon-cameron-read-by-beata-pozniak/>

Sample: <https://soundcloud.com/beata-pozniak/light-in-hidden-places-scholastic-audio>)

Diana Nyad

https://en.wikipedia.org/wiki/Diana_Nyad.

Zobacz też:

Droga do nieba

Chwile zamyślenia

Z rodzinnego albumu. Stara szkoła.



Moja najbliższa rodzina (beze mnie) – tata, Julek, mama, Ela, w czerwonej sukience, później opisywanej, Jadzia Kosińska, Witek, ciocia Janka – siostra taty

Teresa Fabijańska-Żurawska (*Łańcut*)

Muszę wrócić do 1939 roku, gdy po wkroczeniu okupantów

niemieckich, została bardzo szybko zorganizowana ich administracja. W listopadzie pozwolono na otwarcie szkoły podstawowej, wówczas zwanej powszechną. Obowiązywał nowy program nauczania, bez historii, bez geografii, bez literatury polskiej, z surowym zakazem korzystania z podręczników szkolnych wydanych przed wojną. Inspekcje kontrolne odbywały się często i znienacka. Nie jednego nauczyciela aresztowano, a może i zgładzono. Cóż więc pozostało? Ja, głupstwo, dopiero zaczynałam. Uczyłam się pisać, czytać, rachować, rysować i śpiewać z panem Feliksem Szczudłowskim, przezywanym przez dzieci Felu-Kapelu. Przygrywał nam na skrzypcach i czynił to z wielką miłością. Biedny, chory był na gruźlicę. Moje starsze rodzeństwo, a zwłaszcza Ela i Witek będący w wieku gimnazjalnym, pozbawieni zostali w ogóle możliwości uczenia się. W małym miasteczku, jakim był wówczas Hrubieszów, trudno było o prywatne lekcje. Tajne komplety zaistniały dopiero później. Julek zaliczał jeszcze podstawówkę.

Chodziliśmy do tzw. „starej szkoły”, którą był sympatyczny, drewniany, parterowy budynek dawnej plebani prawosławnej. Osiem dużych klas i przybudówka kuchenna, od frontu drewniany, otwarty ganek z ławeczkami i duże boisko ze skarpą, po której zimą zjeżdżało się na czym kto mógł. W dole założono przed wojną skwer z młodymi jeszcze roślinami i wtedy szło się do kościoła szkolnego pod wezwaniem św. Stanisława Kostki, patrona młodzieży.

Starą szkołę pokochałam od pierwszego dnia i miło wspominam do dzisiaj. Pierwszą moją panią była urocza, młoda osoba, którą uwielbiałam i patrzyłam w jej ładną, kolorową buzię, jak w obrazek święty. Niestety nie pamiętam ani jej imienia, ani nazwiska.

Uczyliśmy się na raty. Klasy młodsze przychodziły później i kończyły, gdy było już ciemno na jesieni i zimą. Nie pamiętam, by starsze rodzeństwo opiekowało się mną w tym trudnym, początkowym okresie. Raczej lekcji i zegara pilnował Oleś Du Chateau, starszy o dwa lata, przynajmniej jego pamiętam. Należałam raczej do zdyscyplinowanych z natury i chyba ambitnych i pracowitych. Problemów z nauką nie było, najwyższe noty z góry na dół. Katechetą był ksiądz Edward Dolecki, działacz konspiracyjny AK. Ofiarował swoje radio marki „ECHO” do nasłuchu Polskiej Służbie Informacyjnej BIP, co było wielką pomocą w uzyskiwaniu wiadomości. Dowiedziałam się o tym dużo później z książki – pracy zbiorowej p.t. „Łuny nad Huczwą i Bugiem”, wyd. w Zamościu w 1992 r. Lekcje religii były wielką radością, a umiejętność zwracania się do dzieci była wielkim darem bożym. Ksiądz Dolecki przygotowywał nas do pierwszej Spowiedzi i Komunii Świętej. Pamiętam lekcje w kaplicy grobowej przy kościele św. Stanisława, gdzie wilgoć i ziąb przenikliwy wylaźli z grubych murów, nawet w ciepłe dni wiosenne. Czasem uczyliśmy się na cmentarzu przykościelnym, niegdyś grzebalnym. Kościół zbudowany pod koniec XVIII w. jako

unicki pod wezwaniem św. Mikołaja został w XIX w. zamieniony przez władze carskie na cerkiew prawosławną, później rekoncyliowany i wreszcie stał się katolickim kościołem szkolnym, dzisiaj cieszący się cudownym obrazem Matki Bożej Sokalskiej.

O tym, że cmentarz był grzebalny i dużo starszy od kościoła świadczyć mogą sterczące w osuwisku od strony Huczwy kości, którymi chłopcy rzucali w siebie, jak śnieżkami. Wiedziały o tym dzieci z naszej szkoły, stojącej po sąsiedzku. Miejsce usytuowania kościoła miało od wieków charakter szczególny, ze względu na ukształtowanie wysokiego brzegu rzeki. Był to najwyższy teren wyspy, na której powstał Hrubieszów, pierwotnie zwany Rubieszowem.

A więc niezwykła szkoła, w niezwykłym miejscu, z niezwykłą atmosferą, jakby fluidy czasu zawisły właśnie tu, zakumulowane, zawirowane wartkim nurtem Huczwy. Ale szkoła to przede wszystkim żyjący ludzie z całym swym bogactwem różnorodności charakterów, talentów, osobowości. Pierwsze koleżanki – przyjaciółki na następne lata, pierwsze porównania zdolności, umiejętności manualnych, kontrowersje myślenia, zachowań i reakcji, pierwsze zdziwienia i rozczarowania, ale i zachwyty. W drugiej klasie uczyliśmy się w przybudówce kuchennej. Była nieforemna, bez osi, z jednym małym oknem i drzwiami na wylot. Siedzieliśmy w ławkach drewnianych o pulpitowej konstrukcji

blatu, u którego w prostej szczytowej znajdowały się dwie okrągłe dziury na kałamarze. Pod pulpitem półka na teczkę. Ławki były dwuosobowe, ale zsunięte po trzy w rzędzie. Tutaj siedziała zdecydowana większość dziewczynek. Pod oknem pojedynczy rząd dla chłopców. Zazdrościliśmy im większej swobody. Zanim ta szósta przedarła się przez cały rząd, upływało trochę czasu. Czasem czułyśmy się zaklinowane.



Mama Eleonora Fabijańska wacha różę
Z całej klasy najbardziej podobiała mi się Hania Skopińska,
pierwsza przyjaciółka, której jestem wierna do dziś. Hania miała
wtedy dwa grube, pszeniczne warkocze, jasnoróżową buzię i

śliczne białe zęby, które tak ładnie było widać w uśmiechu. Zimą nosiła robiony na drutach golf z melanżu biało-seledynowego, w którym buzia jej jeszcze bardziej piękniała. Poza tym Hania imponowała mi talentem. Szybko i bardzo pomysłowo rysowała papierowe lalki w różnych wielkościach i na każde zamówienie. Lalki nosiły kolorowe stroje, bereciki, kokardy, miały warkocze i wszystko, co mogło się podobać. Hania uczyła się grać na fortepianie i w ogóle była dziewczynką z dobrego domu. Z Hanią wolno mi było się przyjaźnić i bywać w jej domu. Państwo Skopińscy przybyli do Hrubieszowa chyba zza Bugu. Początkowo zamieszkali w małym, typowo hrubieszowskim drewnianym domu z werandką od ulicy zwanej Podzamczem, blisko mostu. Szalowany deskami i malowany olejną farbą na kolor szaroniebieski, stapiał się z zielenią sadu i ogródka od strony Huczwy. Jedne imieniny Hani odbyły się właśnie tam. Co podano w ten czas wojenny, nie pamiętam, chyba było kakao – zdobyty rarytas. Każde dziecko miało swoje miejsce, przeznaczone przez gospodarzy, jak nakazywał dawny, dworski obyczaj. Przed talerzem, na stole leżała karteczka z imieniem i nazwiskiem, ozdobiona przez Hanię kredkami i żywym kwiatkiem. Dotąd przechowuje ten skarb w szufladzie. Imieniny te zostały uwiecznione amatorskim zdjęciem, na którym dominuje ogromny, biały motyl nad głową solenizantki.

Piszę o tym, bo jest to świadectwo głębokich tradycji obyczajowych polskiej inteligencji i świadomość potrzeby

kultywowania piękna w życiu codziennym, mimo szarzyzny i niepewności jutra. Myślę, że takie chwile pomogły nam przetrwać najgorsze, bo zawsze było odniesienie do czegoś wzniosłego. Ogromnie dużo zawdzięczam Hani rodzicom. Nie krępowali nas swoją obecnością, a umiejętnie, z dala pozwalali nam na niecodzienne zabawy. Miałyśmy swoją pocztę, pisywałyśmy listy zaszyfrowane naszym, wyłącznym, jedynym językiem.

Trzecią papużką była córka lekarza, doktora Cieślaka, Marysia, o niesamowitych ogromnych zielonych oczach i wspaniałych warkoczach. Była błyskotliwa, odcytana (tak, tak, nawet w drugiej klasie szkoły podstawowej), inteligentna i grająca na fortepianie przy każdej okazji. Trzymałyśmy się we trzy do końca wojny. Potem obie ich rodziny wyjechały do Zamościa, my dopiero rok później.

Państwo Cieślakowie mieszkali w drewnianym domu, blisko cerkwi. Już nie istnieje ani ten dom, ani szaro-niebieski z gankiem. Brak szacunku dla obiektów zabytkowych w czasach PRL zniszczył charakter dawnego Hrubieszowa, który miał szansę stać się atrakcją turystyczną tego pięknego, bogatego w wydarzenia historyczne, regionu.

Doktorostwo Cieślakowie z Marysią i Markiem opuścili Hrubieszów, gdy okupacja jeszcze trwała. Państwo Skopińscy

przenieśli się do bardziej nowoczesnego domu, też drewnianego, ale z piętrem, gdzie mieli spore mieszkanie składające się z dużych trzech pokoi i kuchni, ze wspólną dużą łazienką. To już były luksusy. W tym domu bawiliśmy się częściej niż u Marysi. Mimo okupacji chodziłam do szkoły regularnie, rok po roku. Z wyjątkiem ospy wietrznej i jakiś gryp, nie chorowałam. Rekordy bił u nas Julek, chorował na szkarlatynę, na tyfus, wiecznie na anginy. Witek natomiast dwa razy zaliczył kilkutygodniowe leżenie w szpitalu, raz na ślepą kışkę (wyrostek robaczkowy), a raz miał złamana nogę przez własną nadmierną ruchliwość. W ogóle Witek naszej mamie przysparzał najwięcej emocji. Przepadał nie wiadomo gdzie i nie wiadomo jakie miał towarzystwo. Ale to on nas właściwie utrzymywał. Najpierw handlując nićmi przywożonymi z Warszawy, później legalnie, koncesyjnie prowadząc kiosk z papierosami, a potem pracował w magazynach jabłek. Potrafił upiec chleb, zdobyć mąkę, opał, naftę do lampy i wszystko co było potrzebne do przetrwania. Od początku wojny, od powrotu z naszej wędrówki na wschód, Witek, mający zaledwie 14 lat, poczuł się odpowiedzialny za całą rodzinę, nie tylko najbliższą.

Całe szczęście, że otwarto średnią szkołę, tzw. handlówkę, na potrzeby niemieckiej administracji, przygotowującej do pracy w biurach i w sklepach. Uczyli ci sami profesorowie, co przed wojną w gimnazjum. W ciągu dwóch lat uczyli się prowadzenia księgowości, umiejętności stenografowania, towaroznawstwa,

języka niemieckiego. Ela i Witek skończyli tę szkołę. Ela później doksztalała się we własnym zakresie, jednocześnie pracując w biurze Polskiego Czerwonego Krzyża, świetnie działającej placówce, prowadzonej przez doktora Władysława Kuczewskiego, dobroczyńcy tamtych czasów. Wspomniałam wcześniej o jego tragicznej, podstępnej śmierci z rąk „pacjenta”, ukraińskiego nacjonalisty.

Nasza nauka nie była normalna, Niemcy utrudniali, jak tylko mogli. Często trzeba było zmieniać miejsce lekcji. Po zagładzie Żydów, uczyliśmy się w pożydowskich domach prywatnych, zimnych i zdewastowanych. Idąc do szkoły nigdy nie wiedziałam, gdzie będą lekcje, ale zawsze ktoś stał na czatach i dawał nam znać. To była konspiracja. A starsze rodzeństwo nie miało swojego przedwojennego budynku, więc uczyli się nawet w stodole. Jakoś nikt nie narzekał, a dzisiaj mamy co wspominać.



Lila i mama ze mną w Hrubieszowie na ulicy Staszica (w głębi widać pomnik) w 1938 r. (Eleonora Fabijańska, Teresa Fabijańska, Maria z Piątkowskich Wacławowa Banaszkiewiczowa)

Na wiosnę 1940 roku musieliśmy opuścić nasze mieszkanie w śródmieściu. Z trudem i z pomocą cioci Janki Kosińskiej znalazło się mieszkanie na Poberżanach. Tak nazywało się przedmieście w kierunku Zamościa, a ulica po dziś dzień nosi nazwę Zamojskiej. W piętrowym, nowym domu, jedynym murowanym wówczas w tej okolicy, mieliśmy dwa pokoje z kuchnią. W podwórzu była komórka na węgiel i sławojka. Przetrwaliśmy tutaj do powrotu ojca w 1945 roku.

Mieszkanie było sympatyczne, chociaż dla nas przymałe. Jak zwykle były też plusy, bo okoliczni gospodarze z ich ogrodami i płodami rolnymi pomogli nam przeżyć, ale gdy spojrzę egoistycznie, dla mnie była zbyt duża odległość do szkoły. I droga była niebezpieczna, nie było chodników, ani nawet poboczy. Trzeba było iść szosa, a to była droga wojsk okupacyjnych z Zamościa za Bug. Jeździły okropne czołgi, ciężarówki z żołnierzami niemieckimi, wozy pancerne kolumnami po kilkadziesiąt, bez przerwy, w dzień i w nocy. Najpierw koncentracja na linii Bugu w czerwcu 1941 r., potem stałe, niekończące się przejazdy, a pomiędzy nimi z trudem przedzierały się chłopskie wozy. Droga była szutrowana, ciężki transport powybił dziury, które zawsze były pełne wody o błotnistej mazi. Ominąć je i nie zostać ochlapanym, to sztuka, której nauczyłam się z czasem. Po obu bokach drogi głębokie rowy zbierały mazistą wodę, ale w czas suchy nauczyłam się po rowach tych skakać, odbijając się zygzakiem. Najgorzej zimą szło

się w mróz siarczasty (w te wojenne lata zimy były srogie) pod drutami elektrycznymi. Każde zbliżenie do słupa nateżało melodię denerwującą i groźną. Mówiło się wtedy: będzie mróz, bo druty grają. Dobrze się działo, gdy dobry gospodarz pozwalał dzieciom przysiąc na rozłożystych saniach. Wtedy strach mijał i droga szybko zeszła.

Na szczęście zimy miały swój koniec. Poberżany ze swoją zielenią, sadami przy domach, warzywnikami miały niepowtarzalny urok. Ludzie żyli zgodnie, solidarnie i z przyjaźnią. W każdym niemal podwórku miałam koleżanki, starsze lub rówieśniczki, z którymi organizowałam teatr podwórkowy, różne zabawy i wyczyny sportowe, m.in. moda przyszła na szczudła. Robiliśmy je sami z tyczek po fasoli. Nie umiem dzisiaj pojąć, jak mogliśmy na nich chodzić. Niewątpliwie dużą zapamiętaną atrakcją był cyrk. Nie wiem skąd przyjechał i chyba to było po 1941 roku. Rozbito go na wygonie – półokrągłym placu znajdującym się w połowie ulicy Zamojskiej, po lewej stronie idąc od miasta. Kacze doły, może z czasów działań I wojny światowej, świetnie nadawały się do zjazdów na sankach. Boże, co my wtedy wyprawialiśmy! To nie była normalna jazda, tylko wszystkie możliwe popis. Ślizgawka na służbie w czasie okupacji nie funkcjonowała, gdzieżby to było możliwe pod okiem Landrata, który rozgościł się we dworze Du Chateau, jak we własnej rezydencji. Pozostawały więc sanki i ewentualnie podtopione łąki pod lasem na ślizgawkę. Jednak to

już nie miało żadnego charakteru, ot pozamarzane mniejsze i większe kałuże. Przed wojną utrzymywane i czyszczone lodowisko ściągało towarzystwo. Przychodziły całe rodziny, młodzież gimnazjalna, która przy muzyce dawała popis jazdy figurowej i holendrowania. Mama miała śliczny komplet z białej angory: golf, szal, czapka i spódniczka kroju podobnego do tych, które nosiły słynne łyżwiarki, np. Sonia Henni. Mama jeździła ładnie, tata jeździł zgrabnie, Ela holendrowała brawurowo trzymając się za ręce z dwoma kolegami. Bracia uczyli się, jeździli szybko wokoło lodowiska. Nawet ja miałam łyżewki na podwójnej płozie i ciągle się przewracałam. Tak już zostało, łyżwy nie były moją miłością.

Wróciłam miłym wspomnieniem do czasów wcześniejszych, ale muszę wrócić do okupacji. Chciałabym, aby moje wnuki zrozumiały i zapamiętały, że nie wolno najeżdżać innego kraju, nie wolno brutalnie wchodzić w czyjeś życie, nie wolno szydzić z innych ludzi, nie wolno wyśmiewać cudzej świętości, nie wolno zabijać, niszczyć życia.

Najgorszy był początek okupacji, rok 1939 i 1940 z bardzo mroźną zimą oraz 1944 i 1945 już bez wojsk niemieckich, za to z sowieckimi. To lata, które odcisnęły się w pamięci jako lata głodu, chłodu, świerzbu, wszy i odmrożonych kończyn. W latach tych nawet kartek żywnościowych nie było. Przydziały żywności dla ludności pozarolniczej przewidywały kaszę, nie pamiętam

jaką, okropną mąkę, ciemną i zanieczyszczoną, marmoladę z buraków, płynną, brązową melasę, wyglądającą jak klej stolarski, zastępującej cukier i dla dzieci pół litra mleka. Po te produkty stawało się w gigantycznych kolejkach na zmianę, bo trzeba było stać kilka godzin, właściwie bez żadnego pożytku, ale zrezygnować się nie dało.

Wielką pomocą do 1944 roku (później już władza ludowa zabrała) był nam Wiszniów Banaszkiewiczów, majątek ziemski niedaleko Hrubieszowa, gdzie mieszkała, córka cioci Niusi – Lila z Piątkowskich z rodziną. Tam na cmentarzu wiejskim pochowany jest mój dziadek ze strony mamy, Anzelm de Schmieden-Kowalski i jego najstarsza córka, ciocia Nusia, związana z Czumowem. Zwłaszcza w okresie, gdy babunia Mania była z nami, podrzucano nam prawdziwą mąkę, czasami kaszę. Kurczak i jakieś wiktuały spływały nam jak manna z nieba. Mama smażyła nam wtedy ulubione jabłka w cieście i placuszki na miodzie. Można było nawet upiec tort z fasoli, tzw. jaśka. Smakował niczym marcepan. W czasie świątecznym robiło się torty makowe bez cukru, cukierki z płatków owsianych i piło zamiast herbaty napar ze skórek jabłkowych. Tych na Poberżanach nigdy nie brakowało. Przyjmowało się gości sałatką jarzynową zwaną *vinaigrette*. Najwięcej było w niej buraków i kartofli oraz małej fasoli. Smakowała znakomicie.

TERESA-ZOFIA FABIJAŃSKA-ŻURAWSKA, emerytowany starszy kustosz Muzeum-Zamku w Łańcucie, jest historykiem sztuki ze specjalnością w dziedzinie pojazdów konnych.

Wspomnienia Teresy Fabijańskiej-Żurawskiej w 2021 roku będą się ukazywać w ostatni czwartek miesiąca.

Poprzednie części wspomnień:

Z rodzinnego albumu. Wojna - ucieczka za Bug.

Z rodzinnego albumu. Hrubieszów.

Polskie siedziby rodzinne. Czumów.

Historia w karetach zaklęta

Ameryka w oczach i pamiętnikach wybitnych Polaków w XVIII, XIX i XX w. Część 2.



Czesław Miłosz w Berkeley, fot. A. Lizakowski
Adam Lizakowski (*Chicago*)

List 25

Dużo spacerujesz po Chicago, opisz jakąś dzielnicę.

Pisałem już o ulicy Milwaukee, Archer, Belmont, Michigan, Fullerton, na której mieszkam, Logan Square, pisanie o bogactwie tych dzielnic jest nudne, tak samo jak o biedzie, która wszędzie jest taka sama. Tak, bywam w różnych dzielnicach, których mieszkańcy mają różne filozofie życia,

choć te same pragnienia, zdrowia, szczęścia i bogactwa.

Potrzebne są mi dzielnice chicagowskie, potrzebna
jest mi przestrzeń do oddychania i czucia poezji
najbardziej odpowiada mi chicagowska preria
spod Juliet i Aurory, tam czuję się dziko i swobodnie,
ale ty pytasz o dzielnice, więc może Golden Coast
o której pisał Carl Sandburg a jedną z ulic nazwano
na jego cześć, są tam najpiękniejsze i najbogatsze
domy nowobogackich sprzed stu lat, tam się jeszcze
czuje krew mordowanych zwierząt i pot emigrantów,
choć wszystko jest już od dawna wyperfumowane
i wyczyszczone na cacy, łazienki są marmurowe,
a schody mahoniowe, w domach pachnie nie tylko

marzeniami, ale i starością, która lubi wygodę,
komfort i przestrzeń, mieszkania są wysokie,
dobrze oświetlone, przez przezroczyste szyby
można zobaczyć jak milionerzy mają urządzone pokoje
właściciele jakichś domów w mieście czy wielkich
udziałów na giełdach, można się skryć za pień dębu
i pomarzyć: mieć taki dom w takim miejscu
sto jardów od jeziora, taką żonę,
taki luksus śniadania podanego do łóżka,
taką bibliotekę z dużym kominkiem w takim domu,
w którym służący włoży zakładkę w książkę,
gdy ociężała głowa w sen zapadnie.

Czesław Miłosz 1911-2004 [10]

Żył w Ameryce, żył przez cztery dekady, ale nigdy nie czuł się Amerykaninem, ani też nigdy tak naprawdę nie rozumiał i nie patrzył na Amerykę jak jej obywatel. Przez cały okres pobytu na kontynencie amerykańskim (a był tu dwukrotnie, pierwszy raz zaraz po wojnie, a drugi rozpoczął się w 1960 r.), pisał o Ameryce jak Europejczyk. Ameryce zawdzięczał wiele, ona go karmiła i stworzyła, zapewniła mu pracę i godziwe życie. Lecz ani w Berkeley na uniwersytecie, na którym dostał pracę, ani w innych miejscach w Ameryce, nikt nie wiedział, że jest poetą i piszę niezrozumiałe wiersze w jakimś mało znanym języku, a cóż dopiero, że jest wybitnym poetą. Natomiast widziano, że jakimś cudem bez wykształcenia, bo nie miał doktoratu, został wykładowcą akademickim na jednym z najlepszych uniwersytetów w Ameryce i to, że w Europie klepał biedę, że jest uciekinierem ze Wschodniej Europy, a gdzie to jest to dokładnie mało kto wiedział. I tak do końca nie było wiadomo kim jest, bo raz dawał do zrozumienia że jest Litwinem piszącym po polsku, a raz, że jest Polakiem, ale polskość to sprawa, którą nie można się chełpić, więc lepiej o niej nie mówić. Poeta doskonale wiedział, że Amerykanie, naród ludzi silnych i dumnych, dla których liczy się tylko ten najlepszy, najszybszy i najbogatszy, nie ma „ucha ani cierpliwości” wysłuchiwać biednych Polaków, którzy po raz kolejny stracili swoją ojczyznę, niby wygrali wojnę, ale jej nie wygrali. Miłosz wiedział, że u Amerykanów nie znajdzie ani sympatii, ani współczucia jako „biedny Polak”, bo

mówiąc językiem sportowym, dla nich liczy się tylko złoto, czyli pierwsze miejsce, i kto by tam pamiętał o drugim, czy trzecim miejscu, podczas gdy Polacy pamiętają nawet kto był dziesiąty czy dwudziesty piąty.

Mówienie o swoich klęskach, czy pokazywanie ran Amerykom, nie wzbudzanie u nich wspomnianej już sympatii, ale lekceważenie, czy nawet niechęć do obnażającego swoje rany. Sprzedali Polskę Stalinowi i doskonale o tym wiedzieli, a wszelkie domagania się Polaków, to jest Polonii amerykańskiej o pomoc, na forum amerykańskiej opinii publicznej, miało się z celem. Dla Amerykanów nie ma „pojęcia, ani geograficznego, ani kulturalnego czy też politycznego – Polacy”, oni mówią o Polakach jako o East European, czyli Wschodni Europejczycy. Jeszcze nie zasłużyliśmy na to, aby nazywano nas Polakami, ani w żaden sposób nie zdobyliśmy ich sympatii, aby nazywali nasz kraj Polska. Jedynie Rosjanie mają pełną aprobatę Amerykanów i ich kraj nazywa się Rosja, jej mieszkańcy to Rosjanie, ich literatura jest rosyjską, a ich poetów nazywają rosyjskimi poetami.

Czesław Miłosz z Paryża, jak już zostało napisane, trafił do Berkeley w 1960 roku, z jednej rzeczywistości do drugiej, z jednego terytorium literatury na drugie. W nim nie będzie miał tyle swobody jak w Europie, ale to wbrew pozorom ułatwi mu znalezienie nowego rozwiązania i pomysłu na siebie. On po

prostu wymyśli lub znajdzie formułę tłumacza/profesora/poety, stworzy amerykańskiego Czesława Miłosza. W Ameryce podejmie tematykę swojej małej ojczyzny, Europy, istnienia człowieka na tym małym skrawku ziemi, jego cierpienia i samotności w świecie, wszelkie uwikłania w historię najnowszą, dokonywania wyborów życiowych ludzi, za których tego wyboru dokonał Józef Stalin. To o wiele bardziej będzie zaprzętać mu umysł niż narodziny *beatników*, wiersze hippisów z pobliskiego San Francisco (z drugiej strony zatoki), działalność jednej z najważniejszych księgarni i wydawnictwa w Ameryce – City Lights Bookstore, której właścicielem był poeta, *beatnik* Lawrence Ferlinghetti. Jego wędrówki literackie będą w inne rzeczywistości, odbywać się będą innymi ulicami, jemu będą potrzebne inne świadectwa literackie, on ledwo spojrzy na młodzież amerykańską i jej fascynację kulturą dalekiego wschodu, medytację, piosenki/ ballady i pieśni Boba Dylana i innych.

Poetę Ginsberga nazwie „nieszczęśnikiem”, a jego wiersze i wiersze Dzieci Kwiatów, śmierć króla Rock & Roll’a Elvisa Presley’a, będą poza jego zainteresowaniem. On chce być amerykański, ale na swój sposób, jego Ameryka musi spełniać jego wyobrażenia przywiezione z Europy, ale ona ich nie spełnia, pokazuje swoje amerykańskie oblicze, które intelektualistom europejskiemu nie odpowiada.

W listach do Marka Skwarnickiego, na którego będziemy się tutaj jeszcze kilka razy powoływać, poeta pisał:

A zatem Ameryka jako tymczasowe obozowisko, upiorne miejsce spełnionych prorocstw Witkacego, świat bez historii, kraj „duchowej nędzy” odludnych stanów, gdzie jedyną kulturalną rozrywką tubylców jest gapienie się godzinami na przejeżdżające auta, picie, albo strzelanie z pistoletu z auta do mijanych znaków drogowych.

Miłosz więcej o Ameryce pisał w swojej prywatnej korespondencji niż w esejach o Ameryce, żył tworzył w zupełnie innych obszarach istnienia, był od tych młodych ludzi, Amerykanów mentalnie zupełnie inny, i niewiele go z nimi łączyło, ani nie żył ich problemami, ani nie wdawał się z nimi w dyskusję, tym bardziej nie przeżywał tego wszystkiego tak jak oni. On miał swoich dyskutantów w Europie, żył w swoim polskim/europejskim mieszczańskim, profesorskim „nudnym świecie”, w którym wprawdzie dużo się działo i dramatów, i rozterek rodzinnych/osobistych, których nie brakowało, ale Ameryka w której żył była za szybą. Przez nią oglądał świat w którym było mu dane żyć, „nudę amerykańską” przekuwał na ciężką harówkę, bo pisanie jest niewyobrażalnie ciężkim zajęciem. Życie poety, kosmity Miłosza w Kalifornii było bardzo tradycyjne w sensie amerykańskim, praca od rana do wieczora,

(korespondencja, praca twórcza, wykłady) oraz myślenie o Europie i Polsce, tak jak to robią emigranci, ze wszystkich stron świata.

Korespondencja z przyjaciółmi w języku polskim i rozmowy w języku polski, to zabierało poecie lwią część jego życia w Ameryce. Europa która teoretycznie powinna być na drugim końcu świata praktycznie była tuż „pod nosem” na wyciągnięcie ręki, leżała na biurku pod oknem, i „skrywała się” w książkach na półkach stojących pod ścianą. Wyjazdy na weekendy, wypady na łono przyrody, oglądanie Ameryki od strony gór, oceanu, pustyni, prerii to też patrzenie na nią i opisywanie językiem i okiem Polaka, bo przeważnie wyjeżdżał z rodziną lub przyjaciółmi, z którymi rozmawiał tylko i wyłącznie po polsku. Trzeba dodać, że więcej wiedział od Amerykanów o miejscach, które odwiedzał, albo w szczególny sposób upodobał sobie, ale ta wiedza nie czyniła go Amerykaninem.



Czesław Miłosz przy swoim biurku w Berkeley, fot. A. Lizakowski

W porównaniu choćby z życiem wspomnianego już poety wydającego swoje książki w City Lights Bookstore, Allenem Ginsbergiem, który żył Ameryką i tym wszystkim, co się w niej działo. Nazwisko największego poety Ameryki drugiej połowy XX wieku Allena Ginsberga w „Widzeniach” pojawia się tylko raz, w rozdziale piętnastym pt. „Wizerunek bestii”, na samym początku poematu „Howl”, a w nim Moloch, *którego ucho dymiący grób!*. Rozdział rozpoczyna się zdaniem *Allen Ginsberg skandując swoją na odwrót – whitmanowską pieśń był Każdym.* (s.58.) Słowo „Każdym” z dużej litery. Miłosz lubił Ginsberga za jego Whitmanowską postawę, ale nie cenił jego działań, bo uważał, że

taka postawa służy bardziej anarchii niż sprawie, którą Ginsberg reprezentował. Nie jest to pochlebne zdanie o poecie, który podporządkował swoje życie poezji, podobnie zresztą jak i poeta, profesor, kosmita Czesław Miłosz. Jak już wspomniano obaj poeci są na dwóch różnych biegunach osobowości; Ginsberg szaleństwa w tym co robił, a Miłosz w spokoju mieszczańskiego z dystansu patrzący na Europę i Amerykę. Ginsberg zarośnięty, brodaty błazen Ameryki, gorączkowo gestykulujący rękoma i Miłosz wygolony, ułożony, wyważony uczony, profesor uniwersytecki. Nic ich nie łączy, a jednak poeta wileński cytuje go, bo widzi w nim zmiany zachodzące w Ameryce, widzi w nim Walta Whitmana XX wieku. Ten *Moloch*, którego duszą elektryczność i banki! Ten kraj pieniądza „Złotego Cielca” właśnie poprzez poezję i poetów takich jak Ginsberg zamienia się lub zmienia Amerykę w miejsce, gdzie kultura i sztuka, poeci i artyści będą mieć znaczenie. Nigdy wcześniej, ani później nie było tylu ludzi piszących i czytających poezję jak za czasów „dzieci kwiatów”, o których pan Czesław właściwie nie pisze.

Miłosz

Mógłby być górskim wodospadem

nigdy pustynią czy ziemią jałową

wielkim jagiellońskim dębem w cieniu którego
umęczony wędrowiec zawsze znajdzie wytchnienie
potrafił z powietrza wyłapać bąbelki życiodajnego tlenu
nasycić nim poezję, słowa jego są jak ziarna
które w czytelniku rosną, rozwijają się, kwitną
kołyszą się łany czekając na rękę żniwiarza,
jest księżycem, który przyciąga fale morza
a piękne kobiety śpią niespokojnie,
jest aniołem z wielkimi krzaczastymi brwiami
w kształcie skrzydeł ptaka spłoszonego
w środku nocy z gniazda do którego nigdy już
nie powróci, ale wciąż pamięta zapach trawy
jabłek, biel pokoi, kształty domów, jeziora, rzeki

jest litewskim niedźwiedziem mieszkającym

w pięknym mieście Berkeley

w cudownej Kalifornii, na wzgórzu niedźwiedzi Grizzly

ale on nie pomrukuje, on śpiewa pieśń o tym

że nikomu nie warto zazdrościć, o kolibrach

kwiatach kapryfolium, dziewczęcych pośladkach

biednym chrześcijaninie patrzącym na płonące getto

o miastach do których nigdy nie wróci, tobie i mnie.

Kim jest Miłosz dla mnie tysiące razy pytałem siebie?

matką karmiącą jasną dorodną piersią

z cienkimi niebieskimi żyłkami

której życiodajne mleko piję w upale chicagowskim.

Jakie jest znaczenie jego poezji w moim życiu?

czy to bilet w podróż do dalekich krajów,
do lasów tropikalnych w których wielobarwny
śpiewak skacze z gałązki na gałązkę
wyśpiewując pieśń starodawnych puszc
rzek, piasek pustyn wygrzewa się w słońcu
a skały z lekkością motyli uniosły się w przestrzeń
ku dalekim galaktykom, gdzie czas płynie pionowo.
Miłosz muza żyjąca w cieniu eukaliptusów z widokiem
nad Zatokę San Francisco, mieście wielkości mrówki,
którego światła odbijają się w wodzie, jak obłoki,
poeta wierny swoim ideałom młodości,
nadśłuchuje gry świerszczy, patrzy
w jasno-żarzące się ślepie aut, o czym myśli?

W 1990 roku zapytałem go o to przy wódce i śledziach,
słońce w Zatoce już się utopiło, a noc na atramentowo
pomalowała czubki złotego mostu:

Och!!! Panie Adamie ?westchnął, gdyby tak się dało
dożyć do setki, a potem raz jeszcze licznik cofnąć do zero.

(ADAM LIZAKOWSKI, WIERSZ O CZESŁAWIE MIŁOSZU)

Zbigniew Herbert [11]

Krótkie wyjazdy Polaków często związane były z handlem
rzadkimi na Zachodzie dobrami, co pozwalało na przetrwanie
paru dodatkowych dni podróży. Nierzadko Polacy jadący na
Zachód obładowani byli konserwami, suchą kiełbasą (zwłaszcza
kabanosami!), nie mówiąc już o innych niepsujących się
wiktuałach, umożliwiających zmniejszenie wydatków na
żywność. Ówczesni polscy pisarze mogli uczestniczyć
w międzynarodowych zjazdach – zwłaszcza za oceanem – jedynie
za pieniądze gospodarzy, a często wiązało się to także
z poniżającymi sytuacjami, jak handel drobnymi towarami lub
przynajmniej rewanżowaniem się „polskimi prezentami”. Herbert
wspomina o tym procederze mimochodem i żartobliwie, pisząc

do Julii Hartwig i Artura Międzyrzeckiego w drodze do Nowego Jorku:

W tej chwili znajduję się w samolocie w drodze do Nowego Jorku. Na dole coś niebieskiego. Pytałem stewardesse, co to takiego, powiedziała, że „ołszon” pewnie Atlantycki, ale ja już teraz niczemu nie wierzę, bo Amerykanie to kupcy, a jak poczują rolnika znad Wisły, to chcą go ograbić. Więc sprawdzam co chwilę woreczek na piersiach i parę wianków suszonych grzybów, które w Buffalo są za cenę złota. Tak mówił [nazwisko nieczytelne] Przyboś i Stępień.

Oj mili, moi mili. Jadę grosza trochę uciulać. Nowojorska Centrala Poetów organizuje taki cyrk, więc będę łykał ogień, sztangą liryki narodowej nad głową potrząsał, a jak trzeba, to na konie siędę i krwi utoczę. Alić krew, którą toczyć bym chciał – daleko[1].

Wzmianka o suszonych grzybach, tradycyjnie zawożonych na handel lub prezenty do Stanów, jest raczej tylko żartem, gdyż po dwóch latach pobytu w Europie Zachodniej Herbert raczej nie mógł mieć już zapasów tego cennego towaru. Natomiast wspomnienie nazwisk dwóch współpasażerów sugeruje, że poeta

referował handlowe rozmowy kolegów, a poza tym całą scenę aranżuje w konwencji sprawozdania z podróży za chlebem. Dodajmy, że Herbert podczas swojego pierwszego wyjazdu do Ameryki raczej niewiele zaoszczędził, ponieważ – jak zwykle – podróżował, zwiedzał muzea i biblioteki[2], a po drugie – też tradycyjnie – nakupił książek, które „małymi paczkami trzeba słać do Europy”[3].

Dziś każdy jako tako zarabiający człowiek może sobie pozwolić na wycieczki, które dla poety były ogromnie kosztowne. Na podróże i pobyt na Zachodzie przeznaczał tantiemy z przekładów, a także dorywczych prac redaktorskich i translatorskich. Na szczęście otrzymał wszystkie możliwe nagrody literackie Europy i Ameryki (z wyjątkiem Nobla), a także przyznawano mu zachodnie stypendia. Herbert opowiada o przerażeniu jego izraelskich przyjaciół, kiedy niemal całą nagrodę miasta Jerozolimy (a była to znaczna suma) wydał na podróż po Ziemi Świętej. Nie oszczędzał na spokojne życie, tylko inwestował w siebie, w swoje wrażenia, w pasję poznawania świata i w książki. Jako materiał literacki, procentowały wierszami i esejami. Właściwie tylko wyjazd do USA służył inwestycjom krajowym (gdzie na kalifornijskim uniwersytecie stanowym pracował jako *visiting professor*), to znaczy zgromadzone środki zostały przeznaczone na zakup mieszkania. Mógłby przywieźć więcej pieniędzy, ale – mimo rad Artura Międzyrzeckiego – na profesorskiej posadzie wytrzymał tylko rok

[4].

PS.

Można więc przypuszczać, że na nędzne utrzymanie podczas pierwszego wyjazdu Herberta na Zachód wystarczyło na przykład pięć dolarów dziennie, czyli że za stypendium ministra można było przeżyć aż trzy tygodnie. Jest to oczywiście wartość bardzo mocno przybliżona.

Przypisy:

[1] *Zbigniew Herbert – Julia Hartwig – Artur Międzyrzecki. Korespondencja*, red. M. Zagańczyk, Warszawa 2012, s. 53.

[2] Stąd wzmianka na temat projektowanego szkicu o jednoroźcu. W przypisach czytamy, że „Herbert pracował nad szkicem o przechowywanej w Musée de Cluny w Paryżu XV-wiecznej tkaninie *„Dama z jednoroźcem”* (Tamże, s. 214). Wzmianka w liście pisanym z Nowego Jorku wskazywałaby także na zainteresowanie poety tkaninami przechowywanymi w The Cloisters Museum (oddział nowojorskiego Metropolitan Museum of Art na górnym Manhattanie), gdzie znajduje się seria siedmiu tkanin przedstawiających polowanie i schwywanie Jednoroźca

- *The Hunt of the Unicorn* (Bruksela, około 1500 roku).

[3] Tamże, s. 58.

[4] Tamże, s. 71.

Herbert prowadził zajęcia (od 21 października 1970 roku do 15 czerwca 1971 roku) ze współczesnej poezji europejskiej i dramatu na uniwersytecie stanowym (School of Letters and Science California State Collage w Los Angeles). Wykłady te omawia Maciej Tabor w szkicu *Tradycja poezji europejskiej w wykładach Zbigniewa Herberta w California State College* [w:] *Dialog i spór. Szkice o twórczości Zbigniewa Herberta*, red. J.M. Ruszar, Lublin 2006.

Zakończenie



Chicago, fot. A. Lizakowski

Przeżycia osobiste opisanych przez nas osób, wybitnych Polaków w pewnym stopniu powinny oddać posmak i charakter Ameryki z przełomów XVIII w i XIX oraz tej z przełomu XIX i XX wieku.

Wiele spostrzeżeń sprzed dwustu czy stu lat wciąż jest aktualnych. Wiele motywów wyjazdu z kraju, opuszczenia go jest wciąż mino upływu tak wielkiego czasu bardzo podobna.

Podobne są też początki i kłopoty adopcyjne. Najpierw jest wielka chęć wyjazdu za wielką wodę, szukanie tam jakby ratunku od problemów codzienności we własnym kraju, wiara, że tam będzie lepiej. Po przyjeździe następuje stres, rozczarowanie, jakiś wewnętrzny ból, i dla wielu przekonanie, że jednak dokonali złego wyboru, powinni zostać u siebie. Zbyt wielkie widzą

różnice, może nawet przeżywają szok kulturowy. Mijają najpierw miesiące i lata emigrant staje się coraz bardziej „odporny na Amerykę” osamotnienie, zostaje zastąpione pracą, ciężką pracą na dodatek mało płatną która pochłania większą część życia.

To co wydawała się na początku poprzestawiane do góry nogami w tej Ameryce z czasem zdaje się mieć sens. Dwa wojujące ze sobą światy, dwie kultury, dwa jakże różne spojrzenia na Amerykę i na to, co pozostało z drugiej strony oceanu, z czasem zaczyna łączyć się w jedną całość. Emigrant już nie jest tą samą osobą, którą był jeszcze kilka lat wcześniej doskonałym dowodem tego jest Helena Modrzejewska na jej przykładzie można łatwo zaobserwować zmiany jak w ciągu kilku lat stała się innym człowiekiem.

Przełom wieków XIX i XX to wielki rozwój polskości w Ameryce, bez byłych Powstańców i wielkiej rzeszy chłopstwa – prawie że masowego polskiego osadnictwa w Ameryce – nie byłoby ani polskich parafii, ani tak wielu, wielu kościołów, w samym Chicago ponad dwadzieścia. Jednak nie poeci, pisarze czy literaci, nie żołnierze czy patrioci odegrali główną rolę w powstaniu Polonii amerykańskiej, ale właśnie księża, duszpasterze, bez nich polskość w Ameryce na początku XXI

wieku, trudno sobie nawet wyobrazić. Dla przybywających Polaków w drugiej połowie XIX wieku do Nowego Świata ważnym motywem był patriotyzm — tak, wielu Polaków przyjeżdżało tu budować nową Polskę i tu organizować pomoc staremu krajowi, nawet wojsko, dla wyzwolenia kraju z niewoli zaborów, jak np. Błękitna Armia generała Hallera. Była też chęć służby poprzez ewangelizację — wystarczy z setek duszpasterzy, budowniczych kościołów Polonii wymienić tylko kilku z nich ks. Moczygęba, ks. Pitas, o. Justyn, Wacław Kruszka i wielu, wielu innych). Bez nich wśród rozrastającej się Polonii niepiśmiennej, oni umieli pisać i czytać po polsku i po angielsku. Bez tych ludzi całkowicie oddanym pracy społecznej nie byłoby polskich szkół sobotnich. Polskie gazety miałyby o wiele trudniejsze początki. Gazeta codzienna „Dziennik Związkowy” najstarsza polskojęzyczna gazeta codzienna w USA, powstała w styczniu roku 1908 jako organ Związku Narodowego Polskiego (ang. *Polish National Alliance*, w skr. PNA) i od tego czasu wychodzi nieprzerwanie, będąc tym samym najstarszą polskojęzyczną gazetą na świecie wydawaną bez przerwy. W niej przez wiele lat publikowałem swoją twórczość, a przede wszystkim mogły na jej łamach ukazywać się recenzje moich kolejnych książek pióra nieodżałowanego redaktora dwutygodnika „Zgoda” Wojciecha A. Wierzewskiego oraz dziesiątki recenzji ze spotkań i wieczorów autorskich członków mojej grupy poetyckiej „Niezapłacony Rent”, która działała w Chicago na początku lat 90. ubiegłego wieku.



Adam Lizakowski (z prawej) i Wojciech A. Wierzewski
(1941-2008) – literaturoznawca, krytyk filmowy, nauczyciel
akademicki, publicysta, fot. arch. A. Lizakowskiego

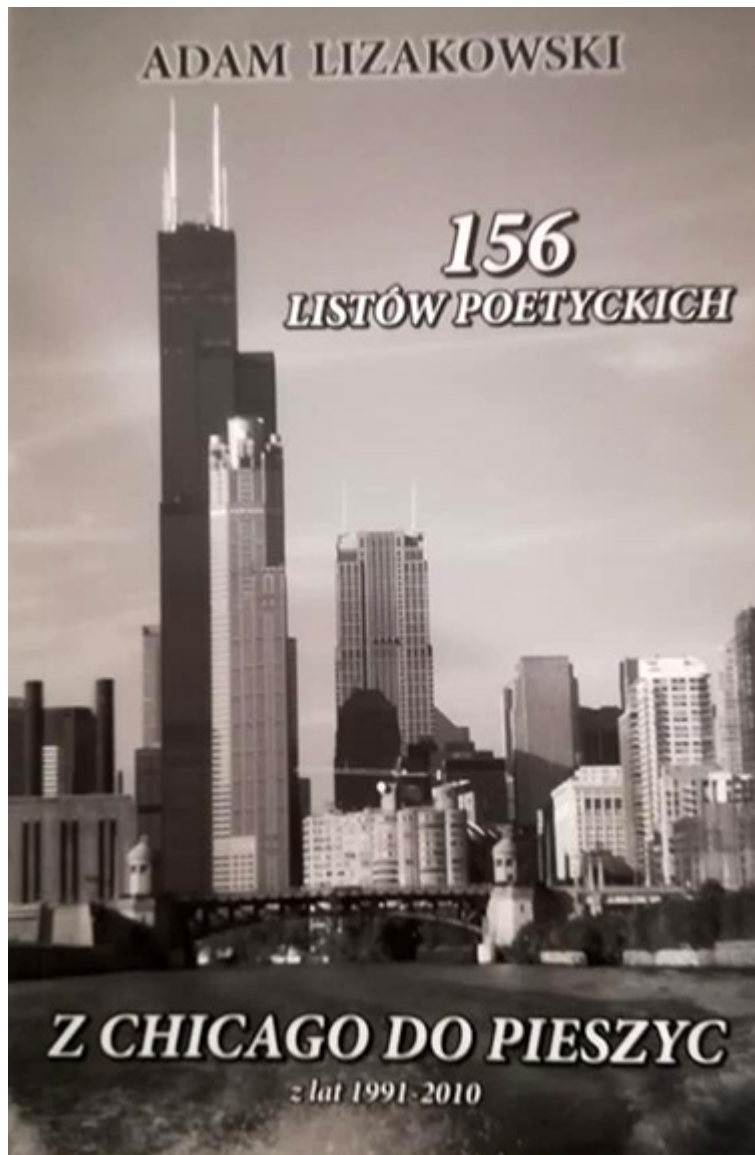
Nie byłoby dzisiaj Polonii amerykańskiej, tylu Amerykanów polskiego pochodzenia, gdyby nie emigranci z powstań narodowych w XIX wieku. Prawdopodobnie nie byłoby takiej Polonii amerykańskiej w Chicago czy w Nowym Jorku jaką mamy dzisiaj, gdyby nie zabory, nędza i głód, niechęć wielu młodych Polaków do służby w armiach zaborców. Wiek XX także „dopomógł” odbudować Polonię amerykańską, najpierw

niefortunne dla Polski i Polaków zakończenie II wojny światowej, a cztery dekady później napływ emigrantów na fali solidarnościowej spowodowany wprowadzeniem przez generała Wojciecha Jaruzelskiego stanu wojennego i jego dalsze konsekwencje. Wiek XXI może przynieść dalsze zmiany. Po zniesieniu wiz dla Polaków można już mówić o zupełnie innej polskiej Ameryce, która już nie jest celem marzeń za lepszym i wygodniejszym życiem, ale celem podróży i poznania tego wielkiego kraju od strony turysty, a nie wiecznie głodnego i biednego emigranta za chlebem, panie, za chlebem...

Chicago, 2010 r., Pieszyce 2021 r.

Źródła:

List 25 pochodzi z tomu Adama Lizakowskiego p.t. „**156 Listów poetyckich z Chicago do Pieszyc**„, wydane go przez Urząd Miasta i Gminy Pieszyce w 2012 r.



[10] Adam Lizakowski – Czy poeta Czesław Miłosz był kosmitą?, Helikopter, 10/2018.

Czesław Miłosz (ur. 1911 r. na Litwie, zm. 2004 r. w Krakowie), polski poeta, prozaik, eseista, historyk literatury, tłumacz, dyplomata; w latach 1951–1993 przebywał na emigracji, do 1960 we Francji, następnie w Stanach Zjednoczonych. Laureat Nagrody Nobla w dziedzinie literatury (1980); profesor Uniwersytetu Kalifornijskiego w Berkeley i Uniwersytetu Harvarda; pochowany w Krypcie Zasłużonych na

Skałce; Uznawany za najwybitniejszego polskiego poetę XX wieku.

[11] Zbigniew Herbert. Materiał pochodzi z portalu nowynapis.eu.

Zbigniew Bolesław Ryszard Herbert (ur. 1924 r. we Lwowie, zm. 1998 r. w Warszawie), polski poeta, eseista, dramaturg, twórca cyklu poetyckiego „Pan Cogito”, autor słuchowisk; pośmiertnie odznaczony Orderem Orła Białego. Z wykształcenia ekonomista, prawnik i filozof.

Laureat ponad dwudziestu nagród literackich. Od końca lat 60. XX w. był jednym z najpoważniejszych pretendentów do Literackiej Nagrody Nobla. Jego książki zostały przetłumaczone na 38 języków.

Część 1:

Ameryka w oczach i pamiątkach wybitnych Polaków w XVIII, XIX i XX w. Część 1.

Zobacz też:

Klerk mężny. Wspomnienie o Zbigniewie Herbercie (1924-1999).

Miłosz w Wilnie oczekiwał cichego pobratymstwa

Ameryka w oczach i pamiętnikach

wybitnych Polaków w XVIII, XIX i XX w. Część 1.



Chicago, fot. Brigitte z Pixabay
Adam Lizakowski (*Chicago*)

Jak żyją Polacy w Ameryce?

W pustce,

która jest tak ogromna, że jeden nie widzi

drugiego. Myśli o własnym JA poszerzą

tę pustkę. W młodości miałem mocne skrzydła,

wzbijałem się wysoko w przestworza.

Ziemia mnie karmiła, o tym zapomniałem.

Ilu jest takich, co wymieni przyjaciół

na samochody? Rodzinne szczęście na

pieniądze? Pokochali rzeczy, które stawiają

wyżej niż siebie samych. Nawet nie zauważają

jak szybko pozbędą się głodu kultury,

jak szybko porosną sadłem obojętności.

W artykule korzystamy z Antologii p.t. „Ameryka w pamiętnikach Polaków”[1] oraz z komputerowych stron Wikipedii. Wybrane przez nas fragmenty nie potrzebują komentarzy ponieważ w bardzo wyraźny sposób przekazują to, co chcieliśmy pokazać.

Przez dwa stulecia obraz Ameryki i wyobrażeń o niej jest właściwie bardzo podobny, nie uległ wielkim zmianom, można nawet powiedzieć, że jest taki sam, i nie będzie to wielką przesadą. Wykorzystamy sylwetki kilku osób znanych w kulturze polskiej od dwóch stuleci. Nie byli to emigranci z prawdziwego zdarzenia, oni tylko jakby „otarli się” o Amerykę, po prostu wpadli do Ameryki na chwilę, a później dużo o niej mówili, pisali. To stara prawda o Ameryce – mają do powiedzenia najwięcej ci, co byli w niej tylko na chwilę, lub przez chwilę. Tomasz Kajetan Węgierski, Julian Niemcewicz, Jakub Gordon i Henryk Sienkiewicz, Helena Modrzejewska jako jedyna z tego grona osób zdecydowała się na pozostanie w Ameryce i ona jako jedyna na ziemi amerykańskiej zmarła.



Tomasz Kajetan Węgierski na litografii Seweryna Oleszczyńskiego, poł. XIX w., fot. domena publiczna

Tomasz Kajetan Węgierski [2]

Nie miał jeszcze dwudziestu lat (ur. 1756r), kiedy wokół jego twórczości powstała atmosfera sensacji i skandalu, jak żaden bowiem z piszących współcześnie – a przecież tworzyli i Ignacy Krasicki i Stanisław Trembecki – ganił, przemawiał, dopiekał, kasał, drwił, nie oszczędzając nikogo, „na wszystkie targając się stany”.

Po „Ameryce angielskiej”, a ściślej po wolnych już byłych trzynastu koloniach – Stanach Zjednoczonych Ameryki – Węgierski podróżował około sześciu miesięcy, opuścił ją prawdopodobnie pod koniec roku 1783. Przejechał prawie przez wszystkie stany i poznał wielu wybitnych ludzi tworzącego się państwa. Spotkał naczelnego dowódcę wojsk amerykańskich Jerzego Waszyngtona.

A dlaczego przyплыwał do Ameryki? Jak podaje autor wyboru i komentarzy tej Antologii, Bogdan Grzeloński w opracowanej przez siebie biografii Węgierskiego:

Na pewno zawiodły go do nowo powstającego państwa fantazja i ciekawość, ale też bez wpływu nie była moda w 1782 roku na salonach nadsekwańskich książka Amerykanina francuskiego pochodzenia Hektora ST. Jean de Crevecoeura: Listy angielskiego farmera. Albowiem daje ona – jak pisał –, zachwycający obraz szczęśliwego życia mieszkańców Ameryki angielskiej.

Pod koniec drugiej połowy XX wieku wielu przyszłych emigrantów myślało bardzo podobnie, *ten szczęśliwy obraz Ameryki* w ich oczach i umysłach nadal funkcjonował.

A oto jak Węgierski pisze o generale Waszyngtonie, pierwszym

prezydencie Ameryki:

Wszystkie portrety generała Waszyngtona, jakie widziałem w Europie, nie są prawie nic do niego podobne. Jest to jeden z najpiękniejszych ludzi, jakich kiedykolwiek spotkałem; jego postać jest szlachetna, wojownicza mina, a maniery swobodne. Grzeczność z jego strony, okazywana od pierwszej chwili spotkania się aż do ostatka, podoba mi się niesłychanie, i przy końcu dwu godzin można było spostrzec, że się go dopiero poznało.

Amerykanie i dzisiaj są opisywani i spostrzegani w bardzo podobny sposób. Mili, uprzejmi, nawet uczynni jeśli to nic nie kosztuje, dlaczego by nie? Z wiecznie „przyklejonym uśmiechem” na ustach.



Julian Ursyn Niemcewicz, fotografia pochodzi z książki wydanej w 1917 r. w Nowym Jorku, Wikimedia Commons

Julian Ursyn Niemcewicz [3]

W Ameryce Niemcewicz znalazł się 18 sierpnia 1797 roku. Właściwie wbrew swoim zamierzeniom. Z „ofiary” dla Naczelnika – Kościuszki. Pamiętać bowiem należy, że był on adiutantem Kościuszki w powstaniu 1794 roku i wraz z nim po klęsce pod Maciejowicami dostał się do więzienia petersburskiego. Utraconą zaś wolność odzyskał dopiero po śmierci carycy Katarzyny II. Z łaski imperatora Pawła I.

Przed wyjazdem z Petersburga pragnął jednak zobaczyć się z Naczelnikiem. Ciekaw był jego zdrowia, samopoczucia, projektów. Sam bowiem mimo ciężkiego śledztwa czuł się dość dobrze. Tymczasem Kościuszkę znalazł *leżącego na kanapie, z obwiniętą głową i wyciągniętą jak martwą nogą*. I jak odnotował we wspomnieniach;

bardziej jak widok ten zmartwił mię głos jego, prawie zgaszony, trudność i nieporządek w tłumaczeniu się, znajdowaniu myśli i słów; zdawał się przerażonym nadzwyczajną trwogą; nic nie mówił, a kiedy głos podniósł kiwał palcem, pokazując, że nas w przedpokoju podsłuchują.

Dlatego też nie potrafił odmówić życzeniu Najwyższego Naczelnika, popartemu zresztą łzami, by razem udali się do Stanów Zjednoczonych Ameryki.

Z Petersburga „ze wspaniałej dzielnicy admiralicji”, jak pisał Niemcewicz wyjechali śnieżnym rankiem w poniedziałek 19 grudnia 1796 roku. Do celu – Filadelfii- ówczesnej stolicy młodego państwa, dotarli po ośmiu miesiącach podróży.

Niemcewicz dobrze sobie w Ameryce poradził,, nawiązał wiele osobistych kontaktów z wieloma znaczącymi w tym czasie osobami m.in. z przyszłym prezydentem Stanów Zjednoczonych

T. Jeffersonem i Johnem Adamsem, też przyszłym prezydentem tego kraju. Jak podają źródła dużo podróżował zwiedził wszystkie stany z wyjątkiem dwóch, Północnej i Południowej Karoliny. Poznał pierwszego prezydenta Stanów Jerzego Waszyngtona.

Ożenił się z bogatą wdową po generale amerykańskich wojsk rewolucyjnych panią Zuzanną Livingston – Kean. Dzisiejszym językiem można powiedzieć, że urządził się świetnie, nawet otrzymał amerykańskie obywatelstwo, o które dzisiaj tak wielu Polaków zabiega. Oddał się pracy literackiej, dużo tworzył i wydawało się, że zapomniał o ojczyźnie, że Ameryka wynagrodziła jego wcześniejsze niedole, ale myśl o Polsce nachodziła go bardzo często. Rozdział amerykański w swojej biografii zamknął słowami:

Każdego obywatela pierwszą jest powinnością być pożytecznym społeczeństwu, w którym się urodził. Póki trwała Polska, starałem się powinności tej zadośćuczynić: gdy rozszarpaną została, i ja stałem się wygnańcem.

Ostateczną decyzję wyjazdu ze Stanów podjął na początku 1807 roku i 2 maja tegoż roku opuścił Amerykę. Z żoną jednak utrzymywał bardzo serdeczne listowne kontakty, a ta w testamencie zapisała mu roczną pensję 6 tys. dolarów. Przykład J.U. Niemcewicza jest jedynym mi znanym z tak pięknym

zakończeniem. O takim życiu prawdopodobnie marzył i marzy niejeden emigrant. Otrzymać amerykańskie obywatelstwo, bogato się ożenić, poznać wielkich polityków, i jeszcze ze znaczna emeryturą powrócić na starość w rodzinne strony. To się nazywa urodzić pod szczęśliwą gwiazdą.

List 14

Czym jest dla ciebie poezja?

Łatwiej powiedzieć czym nie jest.

Na pewno nie jest źródłem dochodów,

ma pewno nie żyję dla niej. Na pewno

jest ją trudno oszukać. Łatwiej jest

oszukać sąd, państwo. Najłatwiej

siebie, poezji nigdy. Ona domaga się,

aby oddać jej wszystko, łącznie z życiem.

Wielu poetów oddało życie dla niej.

Zdolność pisanie wierszy to nie umiejętność

wysławiania się, prorokowania słowem.

Spoglądanie milczeniem pauzy, obnażanie

metafor, to jeszcze nie poezja. Łapanie

chwil pazurami przecinków, kneblowanie

ust wielokropkiem to jeszcze nie poezja.

Trzeba mieć serce, duże serce, tak duże,

że nie trzeba go szukać w głębi siebie.

Takie serce od jednej iskry zapłonie.

Ta garstka popiołu co zostanie to jest

poezja.



Maksymilian Jatowt, ps. Jakub Gordon, fot. domena publiczna
Jakub Gordon [4]

Życie jego i chęć służenia ojczyźnie nadaje się na co najmniej kilkanaście odcinków serialu w którym Gordon odrywałby główną rolę. W Ameryce przebywał od 1855 do 1860 roku. Uciekając przed carską policją (fałszując dokumenty) schronił się w Niemczech, a tam „bez przytułku i opieki”, zdecydował się na podróż do Ameryki, w celu polepszenia swojej sytuacji materialnej, a przede wszystkim chciał odpocząć od Rosji, w

której był zesłańcem politycznym na Sybirze przez wiele lat.

Tak oto pisze o Ameryce i Polakach tam spotkanych:

Często słyszałem uzalających się Polaków w Ameryce.
„Gdybym tak był pracował w Polsce – mówił nie jeden z nich
– tobym sobie już dawno majątek zebrał„.

Sposób pracowania jest zupełnie inny niż w Polsce. Przybądź
no tam kto z lenistwem, prędko odzwyczaisz się od niego.
Albo nic nie zrobisz, albo wypędzisz z siebie próżniaka.

Nie na próżno mówi każdy rzemieślnik co się dostał na tę
półkule, że trzeba rozpocząć na nowo swój zawód nauką.
Jego czynność, równie jak chód nawet muszą być odmienne
w Ameryce, bo tam godzinę odbywa się w czterdzieści
minutach.

Proszę się przypatrzeć np. polskiemu murarzowi – jak on stoi
przy ceglach, których ma użyć do stawiania muru, jak
wprzód trzy razy każdą dwa razy obróci, potem nałoży

fajkę, zapali, przywoła chłopca z wapnem i znów cegłę obróci, aż póki ją położy.

Ten sam murarz w Ameryce w tym samym czasie złoży dziesięć cegieł lub kamieni. Dom murowany postawiony zostanie (wprawdzie z pomocą maszyny) w dwa tygodnie; w Polsce potrzeba na to dwa lata.

Autor tych słów pisał je prawie 150 lat temu. Czy dużo różnią się one od tych „polskich narzekań i spostrzeżeń o Ameryce” w XXI wieku? Chyba nie. Komentarz sam się nasuwa. Ameryka wciąż jest miejscem w którym żyje się wygodnie, lepiej, Amerykanie są szczęśliwsi i dużo więcej i lepiej pracują niż np. Europejczycy. Druga obserwacja, że wciąż niestety trzeba „wszystkiego” uczyć od początku, od stawiania pierwszych kroków poprzez pracę i styl pracy. Ostatnim spostrzeżeniem jest to, że mimo wszystko nasz emigrant wrócił do starej ojczyzny. Nie pozostał w tej tak podziwianej przez siebie Ameryce.

List 21

Napisz, czy ciężko jest być Polakiem w Ameryce?

Kilkanaście lat mieszkałem w Polsce i ciężko

było być Polakiem wśród Polaków.

Polacy to trudne społeczeństwo, uciążliwi,

wiecznie niezadowoleni i nader leniwi,

mało słowni i w gorącej wodzie kąpani.

W Ameryce jest jeszcze gorzej.

Wczoraj młodociany Amerykanin

wyzwał mnie od głupich Polaków.

Chciał, abym dał mu dolara,

ofiarowany dolar mógłby zaoszczędzić mi wyzwisk,

uświadomił mi, że Kościuszko, Puławski niewiele są warci

w historii tego kraju wobec pieniądza.

Dolar to jest coś, za niego można kupić uznanie

(na jak długo).

Jestem głupi, pomyślałem otwierając drzwi samochodu,

jestem głupi, pomyślałem wjeżdżając na autostradę 55,

jestem głupi, a moja głupota jest wielka jak Ameryka

od Atlantyku po Pacyfik,

minąłem chicagowskie Down Town kierując się na północ,

jestem głupi – a to ciekawe – pomyślałem,

jestem głupim Polakiem dla tych, co coś ode mnie
potrzebują,

są też tacy, którzy potrzebują mnie do pogardy,

aby lepiej się poczuć, wyciszyć swoje kompleksy

nie cierpię z tego powodu, mam świadomość,

że jestem potrzebny tym biednym ludziom

jak chleb, powietrze, woda.



Henryk Sienkiewicz, drzeworyt Aleksandra Regulskiego,
„Tygodnik Ilustrowany”, 1884, nr 92, fpt. domena publiczna
Henryk Sienkiewicz [5]

Pomysłem wyjazdu na drugą półkulę, do Ameryki, zaraziła Sienkiewicza gwiazda scen warszawskich Helena Modrzejewska. I jak pisze we swoich wspomnieniach, *Litwos był pierwszym do tego żeby przemawiać za emigracją*. W Stanach Sienkiewicz znalazł się na przełomie lutego i marca 1876 roku. Aby spłacić swoje długi zaciągnięte w „Gazecie Polskiej”, która go

sfinansowała rozpoczął pisać „Listy z podróży do Ameryki”. Pierwszy list ukazał się w „Gazecie” w około sześć tygodni po przyjeździe autora do San Francisco – 9 maja 1876 roku, ostatnie korespondencje publikowane były w marcu 1878 roku.

Ameryka bardzo służyła pisarzowi, a jego talent poparty został wielką pracowitością i jeszcze większym zapadłem do pracy. W liście do Juliana Horiana donosił:

Zaledwie po półrocznym pobycie (sam się zdumiewał), że zdążył kropnąć już: pięć korespondencji bitego pisma – każda sześć arkuszy, dramat w V aktach p.t. „*Na przebój*”, opowiadania „*Sellin Mirza*” i „*Szkice węglem*”.

Dużo podróżował, zwiedzał, obserwował i jak większość emigrantów, chociaż pisarz emigrantem nie był, obserwował i porównywał to, co zostało w kraju, do tego co tutaj zastał. Przede wszystkim podróżował po Ameryce co i dzisiaj jest rzadkością, bo większość rodaków jak raz już „zapuści korzenie” to trudno jest ich później gdziekolwiek wyrwać. Sienkiewicz przemierzył Kalifornię od północnego go południowego krańca, od rzeki Klamath po rzekę Gile. Polował na bawoły w stepach Wyoming, był na pustyni Mohave, zwiedzał kopalnie srebra w Virginia City w stanie Nevada, podziwiał Niagarę, przebywał w Chicago i Nowym Jorku.

Badacze twórczości Litwosa twierdzą, że jego „Listy z podróży” mają rzetelną wartość dokumentarno-historyczną. Tak samo jak szereg wywodów socjologicznych dotyczących Stanów i polskiej emigracji zarobkowej masowo napływającej na ziemię amerykańską po roku 1870 roku. Mylił się pisząc, że wychodźstwo to rychło się wynarodowi, że jest to martwa gałąź narodu polskiego.

W liście do redaktora naczelnego „Gazety Polskiej” Edwarda Leo, popularnego wówczas dramaturga warszawskiego, pisanym z gór Santa Ana w listopadzie 1876 roku tak pisze:

Z Ameryką jest tak: z początku wszystko mnie raziło, wszystko mi się nie podobało – teraz muszę się bronić sympatii, tym bardziej że czuję się, iż to nie są uczucia z góry powzięte, umówione, ale przeciwnie: mimo uprzedzeń szturmem biorące serce i rozum.

Krótko Wam powiem, jest mi tu tak dobrze, że gdybym miał zapewnione życie wieczne, nie chciałbym go spędzić gdzie indziej.

W tym samym roku 1876 Henryk Sienkiewicz pisał w swoich listach do Warszawy:

Z drugiej strony, spytajcie się tylko naszych obywateli wiejskich, co się dzieje u nas po wsiach, a usłyszycie niezawodnie całe historie o kradzieżach żyta, pszenicy, o wypasaniu nocami łąk i koniczyny, o łamaniu płotów, drzew przy drogach, o nocnych napadach na sady owocowe itd. Tu własność jest szanowana do najwyższego stopnia. Nikt tu, np. w Kalifornii, z powodu ciepłego klimatu nie zamyka koni, owiec, bydła, drobiu; nikt nie otacza ostrokołami ogrodów; nie ma prawie wcale stodół i spichrzów; nie słyszałem jednak nigdy nikogo skarżącego się, żeby mu coś zginęło. Własność prywatna jest tu rzeczą tak świętą, że możesz ją prawie choćby na publicznej drodze złożyć, a nikt jej jeszcze nie ruszy.

O literaturze, poezji i sztukach pięknych kobiety tutejsze niewiele mają pojęcia, przy czym poznanie literatur zagranicznych utrudnia nieznajomość obcych języków. Nie spotkałem kobiety, która by znała rysunek lub malarstwo. Znajomość muzyki, na nieszczęście więcej jest rozpowszechniona, ale za to do najwyższego stopnia powierzchowna. Brak Amerykankom i pracy, i muzycznych zdolności, i wreszcie estetycznego poczucia. Przeglądając nuty w różnych domach tutejszych, nie spotkałem się ani razu z Haendlem, Mozartem, Beethovenem, Szopenem,

Lisztem, z mistrzami francuskimi lub włoskimi. Wszędzie znajdowałem tylko jakieś walce, polki, marsz Georgia i... „*quausque tandem, Catilina!*” [6], „*La prerie d’une vierge*” [7] Bądarzewskiej. Tutejsze dziewice grywają ową „*La prerie*” jeżdżąc wraz z krzesłem wzdłuż klawiatury, wzdychając, podnosząc oczy – słowem: zupełnie jak u nas, co ma oznaczać niewinność, idealność, panińskie tęsknoty, fałszywe apetyty i tym podobne.

Pobyty w Ameryce i korespondencje, które były publikowane w prasie polskiej, zyskały uznanie i wzbudziły zainteresowanie Sienkiewiczem. Powodzenie pisarza świetnie odmalował Bolesław Prus w artykule „Co p. Sienkiewicz wyrabia z piękniejszą połową Warszawy” na łamach „Kuriera Warszawskiego” z 1880 roku.

Już po powrocie z Ameryki, prawie każda z dam, przechodząc ulicą, posądzała prawie każdego wyższego i przystojnego mężczyznę o to, że jest Sienkiewiczem. (...) Nareszcie spotykając co krok fryzury á la Sienkiewicz, wiedząc, że młodzi panowie jeden po drugim zapuszczają Hiszpanki, starają się mieć posągowe rysy i śniadą cerę, postanowiłem poznać jego samego (...) Z mego kąta widzę, że sala prawie wyłącznie zapełniona jest przez płęć piękną. Kilku mężczyzn, którzy tam byli do robienia grzeczności

damom, albo pisanie sprawozdań, tak już w ciżbie kobiet potracili poczucie własnej indywidualności, że mówili: byłam, czytałam, wypiliśmy we dwie sześć butelek...

Tak pisał o Sienkiewiczu Bolesław Prus, a Julian Krzyżanowski historyk literatury, o naszym Nobliście tak napisał:

Schodząc z pokładu „Germanikusa” na bruk nowojorski trzydziestoletni Henryk Sienkiewicz był tylko dobrze zapowiadającym się „prozatorem”. Rozstając się zaś z Ameryką miał już nie tylko poważne wzbogacony dorobek, ale przede wszystkim bogaty był w doświadczenia będące podglebiem, na którym w kilka lat później wyrosła twórczość autora powieści historycznych od *„Ogniem i mieczem”* po *„Krzyżaków”* i *„Na polu chwały”*.

Dalej czytamy, że gdyby twórca „Hani” nie wyjechał z Warszawy

byłby się udusił i zmienił w wyrobnika prasowego, (...) gdyby nie przypadek otwierający mu szlak szczęśliwej przygody, szlak, który wiódł go na nieoczekiwane wyżyny. Wkroczenie na szlak ten stała się podróż do Ameryki.

List 22

Napisz coś o Ameryce.

Napisać „coś” o Ameryce może tylko ten, co tutaj
był kilka miesięcy. „Coś” tak wielkie jak Ameryka
trudno jest zrozumieć, opisać.

„Coś” wierzy w istnienie
dzieci urodzonych ze srebrną łyżeczką w ustach.

Amerykę najprościej opisać jako sen
wiele snów luźno powiązanych ze sobą
ciężką głową nurkującą w kosmosie nocy
jak rakietą uwięzioną na korzeniu kręgosłupa
z ciężarkami stóp



Helena Modrzejewska, fotografia wykonana w Nowym Jorku, ze zbiorów Joanny Sokołowskiej-Gwizdka

Helena Modrzejewska [8]

Gdy opuszczała Warszawę była gwiazdą numer jeden scen polskich. O jej względy ubiegali się najwybitniejsi literaci drugiej połowy XIX wieku. Adam Asnyk, Aleksander Świętochowski, Teofil Lenartowicz. Kochał się w niej Stanisław Witkiewicz, malarz Chełmoński, Adam Chmielewski późniejszy brat Albert, kochał się w niej Henryk Sienkiewicz. Zanim wyjechała z Polski

miała ustaloną pozycję, nikt jej nie zagrażał, nawet nie był w stanie się zbliżyć do niej. Uważana była za najpiękniejszą kobietę swojej epoki, poeci, malarze, dziennikarze, uwielbiali ją, posiadała niesamowity talent i wdzięk, ale jej marzeniem była gra „Szekspira w jego własnym języku”. Jednak nie wybrała sceny angielskiej tylko amerykańską.

Zadebiutowała na scenie amerykańskiej 20 sierpnia 1877 roku w California Theatre w San Francisco. Zdobyła publiczność i krytykę.

Teatr wył, ryczał, klaskał, tupał, – jak donosił obecny na przedstawień Henryk Sienkiewicz. – Już wiosną 1878 roku naśladowano jej toalety – suknie a la Modjewska, kapelusze a la Modjewska, – bo takie używała nazwiska w Stanach nie potrzebowała nawet roku aby podbić Amerykę. Jej wizerunkiem ozdabiano pudełka zapalek i cygar, a w restauracjach podawano kompot a la Modjewska.

Jak sama gwiazda teatru pisze w swoich „Wspomnieniach”, które zostały oparte na notatkach, korespondencji i materiałach prasowych:

Po próbie Mc Cullough podszedł do mnie, aby porozmawiać.

Był widocznie wzruszony i powiedział mi wiele pochlebnych rzeczy i od razu ustalił datę mojego debiutu na 13 sierpnia. Przed pożegnaniem zapytał, jak się pisze i wymawia moje nazwisko. Napisałam je w całości w polskiej ortografii – „Helena Modrzejewska” i wręczyłam mu kartkę. Spojrzał na to, uśmiechnął się i poskrobał w głowę i powiedział: – Wątpię, czy to kto na świecie potrafił odczytać. Obawiam się, że będzie pani musiała zmienić swoje nazwisko madame!.

Bardzo ciekawie opisuje madame Modjewska, bo takie w końcu wybiera „amerykańskie nazwisko”, spotkanie z Henry Wadsworth Longfellowem jednym z najbardziej znanych i wybitnych poetów Ameryki. Uważany przez Amerykanów za giganta – intelektualistę amerykańskiej kultury, która w owym czasie nie istniała i cokolwiek było znane i uznane przez Amerykanów pochodziło z Europy,, przeważnie z Anglii. H.W. Longfellow, był uznany za równym takim pisarzom i myślicielom amerykańskim jak . Nathaniel Hawthorne, Ralph Waldo Emerson, Henry David Thoreau, Oliver Wendell Holmes lub William Prescott. Oni byli uznani za reprezentantów intelektualnej ówczesnej Ameryki.

Rok 1878. Jednym z najbardziej ważkich wydarzeń podczas mojego pobytu w Bostonie było spotkanie z Henry W. Longfellowem. [...] Mówił dalej w ten sposób, ze swobodą

skończonego światowca i tym mnie po prostu oczarował. Potem wszedł do pokoju Ralf i obydwójce zostaliśmy zaproszeni na lunch do domu poety w Cambridge. Wielkim urokiem Longfelowa była właśnie ta doskonała prostota, tak rzadka u sławnych ludzi. Nie znajdowałam u niego ani cienia protekcjonalności, jakże częstej u znanych pisarzy. Sławny i niezarozumiały człowiek jest rzadkością, ale w autorze Ewangeliny i Hiwawathy nie było ani krzty zadufania. Do komplementów zdawał się nie przywiązywać wielkiej wagi.

Ze wspomnień Heleny Modrzejewskiej nie dowiemy się o tym jak żyli ówcześni polscy emigranci, ani czym żyła amerykańska społeczność. Problemy jednych i drugich nie były znane Modrzejewskiej, ona bywała w kręgach ludzi wpływowych i bogatych, mogących sobie pozwolić na życie ponad przeciętną, jej znajomi i wielbiciele to bankierzy i politycy, senatorzy i kongresmani, generałowie i bogaci obszarnicy ziemscy. Na powrót do Polski, do ojczyzny, Modrzejewska nie zdecydowała się, za bardzo się zamerykanizowała, na stare lata sprzedała posiadłość w Santiago Canyon i kupiła nową na wyspie Bay Island w East Newport w Kalifornii. Sprawami polskimi interesowała się do końca swojego życia:

losy nieszczęsnej ojczyzny poruszają nas do głębi serca i zawsze śledzimy z najwyższym udziałem i bólem ucisk tej

najbardziej skrzywdzonej części naszego kraju, która pozostaje pod zaborem prusko-niemieckim – pisała.



Ignacy Jan Paderewski przemawia do tłumów w Nowym Jorku, fotografia ze zbiorów Joanny Sokołowskiej-Gwizdka
Ignacy Jan Paderewski wirtuoz i polityk [9]

Ten „pierwszy” zdobył całą muzyczną Europę, obie Ameryki i Afrykę. Jego nazwisko podobno było znane nawet Eskimosom. Człowiek, który zawarł w sobie, w swoim charakterze, osobowości, wszystko to, co najpiękniejsze, wszystko to co zwykły normalny Polak powinien w swoim sercu mieć –

umiłowanie ojczyzny i ogromną pracę nad sobą oraz swoim warsztatem.

Bez niego trudno jest nawet wyobrazić sobie jakby wyglądała Polska, jakby miały się sprawy polskie gdyby nie jego muzyka. Po raz pierwszy Paderewski trafił do Stanów Zjednoczonych jako 30-letni pianista, cieszący się już zasłużoną sławą w Europie, a nawet popularnością podobną do dzisiejszych celebrytów, a to dzięki osobistemu urokowi, urodzie i bujnym falom blond włosów. W USA zrobił furorę. Jego zarobki w firmie Steinway, produkującej fortepiany i organizującej koncerty, wyniosły podczas *tournée* w 1891 roku – na dzisiejsze pieniądze – niemal 2 mln dol., a następnego roku aż 3,2 mln dol. Były to wpływy jedynie z biletów, nie licząc sprzedaży wydawnictw nutowych własnych kompozycji (a jego „Menuet G-dur” sprzedano w nakładzie ponad 1 mln egzemplarzy). Żaden muzyk tyle wtedy nie zarabiał. Sukces finansowy przybyśza zza oceanu Amerykanów nie raził. Przeciwnie – powiększał tylko jego sławę i powszechne uznanie. Paderewski ruszył także utartym szlakiem do USA, szukając tam pomocy. W trakcie licznych koncertów – jak zanotował w pamiętnikach – z reguły zwracał się do publiczności ze słowami:

Proszę was: mówcie o Polsce waszym życzliwym, dobrym przyjaciołom. Powiedzcie im, że hen daleko od waszego

kwitnącego kraju, zasobnego, szczęśliwego kraju, żyje w ogromnej nędzy wielki naród. Zgnębiony biedą, a jego cierpienia przekroczyły wszelkie granice ludzkiej wytrzymałości. Powiedzcie im, że ten właśnie naród, gdy oni byli w potrzebie, posłał im Kościuszkę i ofiarował Pułaskiego.

Część 2:

Ameryka w oczach i pamiątkach wybitnych Polaków w XVIII, XIX i XX w. Część 2.

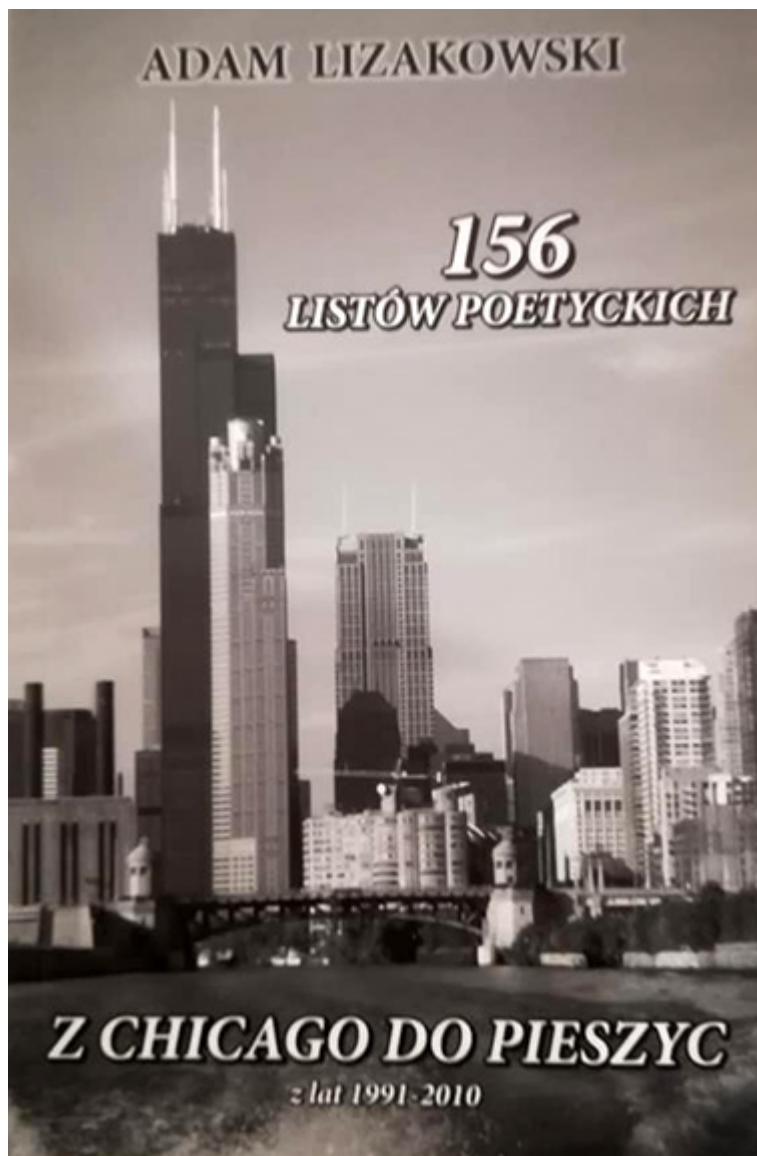
Zobacz też:

Amerykańskie podróże Heleny Modrzejewskiej

Żywot Paderewskiego

Źródła:

Wszystkie wiersze pochodzą z tomu Adama Lizakowskiego p.t. „**156 Listów poetyckich z Chicago do Pieszyc**”, wydane go przez Urząd Miasta i Gminy Pieszycy w 2012 r.



[1] **Ameryka w pamiętnikach Polaków**. Antologia. Wybór i komentarze Bogdan Grzeloński. Wydawnictwo Interpress. Warszawa 1975 rok. Skrót AWPP, będziemy używać jako źródła informacji.

[2] Tomasz Kajetan Węgierski (ur. 1756 r. na Podlasiu, zm. 1787 r. w Marsylii) – polski poeta epoki oświecenia, szlachcic, badacz i podróżnik, tłumacz, satyryk i wolnomularz.

Wokół postaci Węgierskiego panowała atmosfera skandalu i sensacji ponieważ poeta ten w sposób zjadliwy i gwałtowny atakował wady i niesprawiedliwości swojego wieku oraz wysoko postawione na dworze osoby, nie wyłączając króla. Cała jego twórczość zamyka się w latach siedemdziesiątych. Niektóre utwory ukazywały się na łamach „Zabaw przyjemnych i pożytecznych”, jednak większość pozostała w rękopisach. Uczył się w Collegium Nobilium. Był kancelistą w Departamencie Sprawiedliwości Rady Nieustającej, utracił posadę po opublikowaniu jednego ze swoich utworów satyrycznych i musiał opuścić kraj. Podróżował po Europie i Stanach Zjednoczonych. Charakteryzuje go postawa libertyńsko-epikurejska. Prowadził walkę przeciwko obskurantyzmowi sarmackiemu, był antyklerykałem.

[3] Julian Ursyn Niemcewicz (ur. 1757 r. w Skokach koło Brześcia Litewskiego, zm. 1841 w Paryżu) – polski dramaturg, powieściopisarz, poeta i pamiętnikarz.

Pochodził ze średniozamożnej rodziny szlacheckiej (później jednego z najbogatszych rodów Polesia). Ukończył warszawski Korpus Kadetów. Był adiutantem Adama Kazimierza

Czartoryskiego. Zwiedził Francję, Anglię i Włochy. Poseł inflancki Sejmu Wielkiego, aktywny członek Stronnictwa Patriotycznego, współautor (z Hugonem Kołłątajem) projektu Konstytucji 3 Maja. W 1791 r. był jednym z założycieli Zgromadzenia Przyjaciół Konstytucji Rządowej. Po zwycięstwie Targowicy przebywał na emigracji w Niemczech. Sekretarz Tadeusza Kościuszki podczas insurekcji kościuszkowskiej. Został wzięty do niewoli po bitwie pod Maciejowicami i osadzony w Twierdzy Pietropawłowskiej w Petersburgu. W 1796 r. uwolniony przez cara Pawła I razem z Kościuszką udał się do USA, gdzie zamieszkał ożeniony z Amerykanką. W latach 1802-1804 odwiedził Polskę, w 1807 wrócił do kraju. Od 1822 osiadł w swych dobrach w podwarszawskim Ursynowie (które chciał nazwać *nota bene Ameryka*), wprowadził tam nowoczesne metody ogrodnictwa i bez reszty oddał się twórczości literackiej. Pełnił urząd sekretarza senatu w Księstwie Warszawskim i Królestwie Kongresowym. Podróżował po kraju jako wizytator szkół. Członek Towarzystwa Przyjaciół Nauk od 1802 aż do 1826 r. jako prezes. Przeciwnik konspiracji, a zwolennik legalizmu. Po wybuchu powstania listopadowego w 1830 r. wyjechał w misji dyplomatycznej do Londynu. Od 1833 r. w Paryżu związany był ze stronnictwem Adama Jerzego Czartoryskiego. Został pochowany na cmentarzu des Champeaux w Montmorency.

[4] Maksymilian Jatowt właściwe nazwisko Maksymilian Jatowt (ps. Jakub Gordon), nie znamy dokładnej daty

urodzenia, pomiędzy latami 1823-1827. Miał kontakt z ludźmi księdza Piotra Ściegiennego – organizatora powstań chłopskich w 1844 r. W drodze na Sybir udaje mu się zbiec z konwoju i przedostać do Galicji, później na Śląsk. W Mikołowie spotyka poetę Cypriana Kamila Norwida, który udziela mu pomocy – pożycza pieniądze i swój paszport. Podróżuje po Europie. W 1848 roku udaje się do Polski tam nieopatrznie przekracza granicę zaboru rosyjskiego i ponownie wpada w ręce władz carskich. Zostaje oskarżony o współpracę z lewicą emigracyjną, o dezercję i zostaje skazany na służbę w karnych batalionach – początkowo na Uralsku, następnie w Orenburgu.

W 1855 r, po sześciu latach, jeszcze raz wymyka się władzom carskim, ucieka do Niemiec, ale tam jak pisze „myśli jego kierują się ku łagodnemu horyzontowi i politycznemu Stanów Zjednoczonych”.

W Ameryce spędza pięć lat, przyjmuje amerykańskie obywatelstwo, zwiedza wiele stanów przeważnie leżących w dorzeczu „matki” rzek amerykańskich – Mississipi. W 1860 r. wraca do Europy, do Francji i debiutuje tomikiem wspomnień z okresu służby w carskim wojsku p.t. „Moskwa. Pamiętnik Polaka z Korony, obywatela Stanów Zjednoczonych”. W 1866 r. wraca do kraju i osiedla się w Galicji. Od 1872 r. mieszka we Lwowie, umiera 27 listopada 1895 r.

[5] Henryk Adam Aleksander Pius Sienkiewicz pseudonim *Litwos* (ur. 1846 r. w Woli Okrzejskiej, zm. 1916 w Vevey w Szwajcarii) – polski powieściopisarz i publicysta, laureat Nagrody Nobla w dziedzinie literatury w roku 1905 za „całokształt twórczości”. Jeden z najpopularniejszych pisarzy polskich przełomu XIX i XX w.

[6] *Quausque tandem, Catilina!...*, łac. – „Jak długo więc Katylinie!”.. słowa Cyncerona z mowy przeciwko Katylinie.

[7] *La piere d’une vierge* franc. – Modlitwa Dziewicy, popularny wówczas utwór muzyczny.

[8] Helena Modrzejewska (ur. 1840 w Krakowie, zm. 1909 w Newport Beach w Kalifornii, USA) – wybitna polska aktorka specjalizująca się w rolach szekspirowskich i tragicznych (rola tytułowa w „Marii Stuart” Juliusza Słowackiego).

W 1876 r. emigrowała do Kalifornii i od tej pory występowała głównie w Stanach Zjednoczonych jako **Helena Modjeska**. Modrzejewska emigruje do Kalifornii wraz rodziną, Julianem Sypniewskim z rodziną, Łucjanem Paprockim oraz Henrykiem Sienkiewiczem. Do grupy planującej emigrację początkowo należeli też Stanisław Witkiewicz oraz Adam Chmielowski – obydwaj jednak zrezygnowali z wyjazdu. Emigranci osiedlili się miejscowości Anaheim w Kalifornii gdzie prowadzili farmę. Z

tego okresu wywodzą się „Szkice węglem” Henryka Sienkiewicza.

Grupa osadników z czasem rozstaje się. Modrzejewska po paruletniej bytności za granicą i nauce języka angielskiego z sukcesem debiutuje w Stanach Zjednoczonych na deskach California Theatre. Kontynuuje swą karierę aktorską na obczyźnie; przeważnie występując na scenach amerykańskich i angielskich. Zyskuje uznanie i rozgłos. W 1883 r. przyjmuje obywatelstwo amerykańskie. Grając w języku angielskim ugruntowała swoją międzynarodową sławę.

[9] Ignacy Jan Paderewski (ur. 1860 r. w Kuryłówce na Podolu, zm. 1941 r. w Nowym Jorku). Wybitny pianista, kompozytor, polityk, premier Polski, działacz niepodległościowy, profesor konserwatorium w Warszawie.

Marceli Nencki –

stypendysta Alfreda Nobla



Dwór w Boczkach, „Wieś Ilustrowana”, kwiecień 1913 r.

Maria Duszka (*Sieradz*)

Być może nie zainteresowałam się postacią Marcelego Nenckiego, gdyby nie to, że w 2017 r. podczas Międzynarodowego Festiwalu Poetyckiego „Maj nad Wilią” w

Wilnie poznałam panią Katarzynę Markiewicz. Jak się okazało, jest ona potomkinią i spadkobierczynią rodu Nenckich. Mieszka w Wodyniach w powiecie siedleckim, ale każdego roku w okolicy dnia Wszystkich Świętych przyjeżdża do Boczek w gminie Szadek, aby zapalić znicze przed kapliczką, która pozostała w parku dworskim. Odwiedza także cmentarz w Rossoszycy, gdzie znajduje się grób rodziny Nenckich. Tak się złożyło, że z Boczek pochodził także mój dziadek Władysław Dostatni, tata mojej mamy, który zginął w czasie wojny w obozie koncentracyjnym Gross - Rosen. Przodkowie moi i Katarzyny Markiewicz na pewno więc się znali. Dziwnym zrządzeniem losu, my, ich potomkinie poznałyśmy się na Litwie. I właśnie to spotkanie, rozmowy z panią Katarzyną zainspirowały mnie do bliższego poznania fascynującej biografii naszego uczonego.

Zacznijmy jednak od historii rodu. Nency (pierwotna forma nazwiska to Nench) wywodzą się z Inflant. W XVII w. otrzymali tytuł szlachecki i prawo używania herbu Lubicz. Mieszkali w Braniewie na Mazurach. W 1841 r. Wilhelm i Katarzyna Nency zostali właścicielami wsi Boczki, Sikucin i Kobyla koło Szadku. Mieli prawdopodobnie piętnaścioro dzieci, z czego ośmioro zmarło we wczesnym dzieciństwie.

BOCZKI - BERNO

Marceli Nencki urodził się 15 stycznia 1847 r. Wcześniej został

sierotą – jego ojciec zmarł, gdy chłopiec miał 13 lat, matka cztery lata później. Zanim jednak to się stało, już w wieku 9 lat rozpoczął naukę w gimnazjum w Piotrkowie. Ukończył ją w 1863 r. i od razu przyłączył się do powstania styczniowego. Po jego upadku, w obawie przed represjami, zmuszony był wyjechać do Krakowa, gdzie zaczął studiować filozofię. Okazało się jednak, że i w tam nie mógł czuć się bezpiecznie. Przeniósł się więc do Drezna, gdzie zaopiekował się nim pisarz Józef Ignacy Kraszewski, który był zaprzyjaźniony z rodziną Nenckich. Za jego radą Marcelli podjął studia na wydziale filozoficznym uniwersytetu w Jenie, uczył się tam głównie języków starożytnych. Wkrótce przeniósł się do Berlina, gdzie, podobnie jak jego brat Leon, rozpoczął studia medyczne na uniwersytecie. Już wtedy zaczął się interesować procesami chemicznymi zachodzącymi w organizmach żywych czyli nauką, którą po jego śmierci nazwano biochemią – terminu tego w języku polskim po raz pierwszy użyto we wspomnieniach o Nenckim na łamach „Czasopisma Lekarskiego” w 1901 r.



Przyjście z wieńcem, z teki p. Nenckiego z Boczek (podpis pod zdjęciem w gazecie), „Wieś Ilustrowana”, przypuszczalnie sierpień 1911 r.

W 1870 r. po napisaniu rozprawy pt. „Utlenianie związków aromatycznych w ciele zwierzęcym” Nencki uzyskał stopień doktora medycyny. Przez dwa kolejne lata prowadził badania z zakresu chemii organicznej w Akademii Technicznej pod kierunkiem Adolfa Baeyera. Jego nowatorskie, odkrywcze prace naukowe zwróciły na niego uwagę środowiska naukowego. Zaczęto doceniać jego talent, przenikliwy umysł i niezwykłą pracowitość. Został asystentem w Instytucie Anatomii Patologicznej w Bernie (Szwajcaria). Tam, doceniony przez życzliwych starszych kolegów, szybko zdobywał kolejne stopnie

naukowe: docenta, profesora honoris causa, profesora nadzwyczajnego, a potem profesora zwyczajnego. Już w wieku 30 lat objął specjalnie dla niego utworzoną katedrę chemii fizjologicznej. Wkrótce został kierownikiem Instytutu Chemii Medycznej. Mógł prowadzić badania, które wywierały duży wpływ na rozwój medycyny, nie tylko szwajcarskiej. Jego sława jako autorytetu naukowego, ale także życzliwego, niezwykle lubianego człowieka sprawiła, że do jego katedry zaczęli przyjeżdżać młodzi naukowcy nie tylko z całej Europy, ale także Ameryki. Konieczne stało się wybudowanie nowej, obszernej siedziby instytutu, gdzie pomieściliby się wszyscy chętni chcący pracować pod kierunkiem polskiego uczonego.

Dr Jakowski, jeden z jego uczniów tak pisał:

Gdy się przybyło do Berna, po pierwszym zaraz widzeniu się z profesorem, po pierwszych jego radach i wskazówkach, zwłaszcza przybysz z naszego kraju czuł się jak u siebie. Ta życzliwość jego i serdeczność nie ograniczała się tylko do stosunków profesora do uczniów w laboratorium, podczas zajęć naukowych, lecz cechowała i prywatne jego stosunki z rodakami przybyłymi doń po wiedzę. Mogę śmiało powiedzieć, że korzyść odniesiona z pobytu w pracowni Nenckiego przewyższała to, na co udający się do niej był przygotowany.

Podkreślano, że:

Był on człowiekiem, którego każdy musiał polubić. Życzliwość ludzką zyskiwał niesłychaną prostotą charakteru, zupełnym brakiem zawiści fachowej i najzupełniej równym postępowaniem ze wszystkimi: uczonymi – kolegami, studentami, asystentami, możnymi świata tego i posługaczami pracownianymi.

W Bernie Nencki ożenił się z Marią Heleną Schultzen, siostrą swojego kolegi. Miał z nią syna Leona Jana, który został lekarzem. Małżeństwo to dość szybko rozpadło się. Nenckiego nie interesowało światowe życie, jakie lubiła wieść jego żona, i odwrotnie. Maria pozostała w Berlinie, Marceli wyjechał do Rosji. Pozostali jednak w przyjaźni, przez całe życie korespondowali z sobą.

STYPENDIUM OD NOBLA

Po 20 latach pracy w Bernie Marceli Nencki otrzymał zaproszenie do Petersburga. Zaproponowano mu kierowanie Zakładem Chemii w powstającym tam Instytucie Medycyny Eksperymentalnej. Do Rosji pojechało z nim kilkoro jego współpracowników i asystentów, w tym Nadia Sieber – Szumowa.

Czuję się tu jako tako. Kraj jest mi obcy, ale w laboratorium swoim posiadam bogate wyposażenie i wszystkie środki, abym mógł pracować. I to jest dla mnie rzeczą najważniejszą – pisał z Petersburga w jednym z listów do bliskich.

Nencki współpracował ściśle z kierującym Zakładem Fizjologii Iwanem Pawłowem (tym od „odruchu Pawłowa”). W 1894 r. obaj uczeni otrzymali stypendium od samego Alfreda Nobla. W liście skierowanym do nich fundator pisał o swoim głębokim zainteresowaniu eksperymentami z zakresu fizjologii oraz problematyką starzenia się i umierania.

NOBEL'S INTEREST IN EXPERIMENTAL MEDICINE

In 1894, Alfred Nobel donated a considerable sum to the Russian physiologist Ivan Pavlov²³ (fig. 99) and his colleague, Marcell Nencki (fig. 100), professor of medical chemistry in St. Petersburg, for the benefit of their laboratories.

In his letter accompanying the gift, Nobel described his profound interest in physiological experiments and his special interest in the problems of ageing and dying. His interest in experimental medical research is further evidenced by the temporary detachment of his young private assistant and personal friend, Ragnar Sohlman²⁴, who on Nobel's instructions travelled to Stockholm in the summer of 1895 to supervise chemical analysis of urine samples from patients with various ailments such as fever of unknown cause, kidney disease and syphilis. The urine samples, collected from patients at the St Göran hospital in Stockholm, were sent for laboratory tests through the mediation of Professor Axel Key.



100

Marcell Nencki

Alfred Nobel finansował badania Nenckiego i Pawłowa

Nasz uczony był nie tylko teoretykiem, ale dążył do tego, aby wyniki jego badań mogły mieć zastosowane w praktyce. Między innymi w znacznym stopniu przyczynił się do zwalczania wielu chorób zakaźnych, w tym epidemii cholery. Stworzył także szczepionkę przeciwko atakującej bydło epidemię dzumy i księgosuszu. Prowadzenie badań nad tymi specyfikami wiązało się z koniecznością wyjazdów w głąb Rosji – na Kaukaz i do Kraju Zabajkalskiego. Jak wyglądała taka praca w terenie? Nencki pisał w liście do żony:

Mam na głowie ponad 300 sztuk bydła, w tym 40 sztuk bawołów i wielbłądów – prawdziwych czworonogów – wobec 30 osób personelu, około 10 lekarzy weterynarii oraz zmęczonych i rozdrażnionych asystentów. To wszystko w porządku i harmonii utrzymać, zaopatrzyć i w stosunku do każdego być sprawiedliwym i przyjacielskim – jest niemałą sztuką.

Nie było więc łatwo, ale dzięki jego pracy w ciągu kilku lat zostały opanowane epidemie powodujące śmierć setek tysięcy zwierząt. Rosja miała za co być mu wdzięczna.

W 1897 r. zorganizowano obchody 25-lecia pracy naukowej Marcelego Nenckiego. Został członkiem honorowym Towarzystwa Lekarskiego Warszawskiego i Towarzystw

Lekarskich w Wilnie, Krakowie i Lwowie, a władze rosyjskie nadały mu tytuł... generała. Nencki podziękował za przyznane wyróżnienie i jednocześnie wystąpił z pisemną prośbą, aby zwolniono go z konieczności noszenia munduru generalskiego i orderów.

Tęsknił do kraju, często spędzał wakacje w Boczkach. Zdawał sobie jednak sprawę z tego, że pracując w dużych, dobrze wyposażonych ośrodkach naukowych ma większe możliwości rozwoju. Otrzymywał propozycje objęcia katedry farmakologii i farmakognozji, a także chemii na Uniwersytecie Jagiellońskim, potem oferowano mu pracę na Uniwersytecie Lwowskim, jednak z różnych przyczyn nie zdecydował się na to.

Gdyby dane mu było żyć dłużej, być może wróciłby do kraju. Był w pełni sił twórczych, kiedy zaatakował go rak żołądka. Być może do rozwoju tej choroby w jakiś sposób przyczynił się intensywny, wyczerpujący tryb życia jaki uczony prowadził. Zmarł w wieku 54 lat, 14 października 1901r. Został pochowany na cmentarzu ewangelicko-reformowanym w Warszawie.

PATRON INSTYTUTU BIOLOGII DOŚWIADCZALNEJ

Katedrę Chemii w Petersburgu objęła po nim Nadia Sieber – Szumowa. Ona też ofiarowała w 1909 r. 50 tysięcy rubli na utworzenie Instytutu Biologii Doświadczalnej im. Marcelego

Nenckiego w Warszawie. Ideę tę zrealizowano dopiero po odzyskaniu przez Polskę niepodległości w 1918 r. Pierwszym dyrektorem Instytutu był prof. Kazimierz Białaszewicz, pod jego kierownictwem powstała wiodąca placówka biologiczna w kraju. W jej skład wchodziły: Zakład Fizjologii, Zakład Biologii Ogólnej i Zakład Neurobiologii. W latach dwudziestych utworzono Zakłady Embriologii Doświadczalnej, Morfologii i Biometrii. Powstała także sieć ośrodków terenowych: Stacja Hydrobiologiczna na jeziorze Wigry, Stacja Morska na Helu i Stacja Rieczna w Pińsku. W okresie wojny Instytut poniósł ogromne straty, zginęło wielu jego pracowników. W latach 50. otrzymał nową siedzibę przy ul. Pasteura 3 w Warszawie i został włączony w struktury Polskiej Akademii Nauk. Obecnie pracuje w nim około 300 osób.

Marceli Nencki zostawił po sobie w sumie 173 prace z wielu dziedzin: chemii organicznej, fizjologicznej i lekarskiej, a także bakteriologii i epidemiologii. Dorobek naukowy jego życia został opublikowany w języku niemieckim pod tytułem „Opera omnia” w 1904 r. w Braunschweig (Brunszwiku). O tym, że jego osiągnięcia są cenione do dziś, świadczyć może fakt, że w 2011 r. nakładem wydawnictwa Nobel Press ukazało się wznowienie wersji niemieckiej oraz wersja włoska jego dzieła. Niestety, do tej pory nie ukazało się wydanie polskie. O poziomie jego dokonań najlepiej świadczy fakt, że mimo ogromnego postępu w dziedzinach, którymi się zajmował, jego prace są do dziś

cytowane w literaturze światowej.

W 1904 r. Iwan Pawłow otrzymał Nagrodę Nobla (ustanowioną trzy lata wcześniej – w roku śmierci Marcelego Nenckiego). Być może, gdyby żył, otrzymałby ją także nasz uczony. Nencki współpracował przecież z Pawłowem, dopomógł mu także w publikacji jego prac na zachodzie Europy.

Gemeinde Schadek, Kreis Sieradsch.

Schadek am 14. Dezember 1939.

Ausreisebescheinigung.

Frau Konstanzia Kowalski und Nenska Barbara vom Gute Poszki habe ueber behoerdlichen Auftrag in das Guvernement abzuwandern. Es wird ihnen die freiwillige Abreise nach den von ihnen selbstgewaehlten Reiseziel Warschau gestattet.

Die Reise erfolgt ueber Zdunska Wola mittels Eisenbahn.

Die Abreise hat spaetestens am 16. Dezember 1939 zu erfolgen. Die Rueckreise in den Warthegau ist verboten.

Die Abwandernden sind berechtigt, etwas Waesche und Handgepaeck sowie 100 RM Bargeld mitzufuehren.

Es wird ersucht, den Obgenannten frei passieren zu lassen.

Der Amtspolizeiverwalter.

J. Fiedler

Na podstawie tego dokumentu wysiedlono rodzinę Nenckich z Boczek

WYSIEDLENI

Brat Marcelego, Leon po studiach w Niemczech i Szwajcarii był przez wiele lat ordynatorem oddziału wewnętrznego szpitala św. Ducha w Warszawie. Zmarł w 1904 r. W trzy lata później odszedł z tego świata kolejny z braci – mieszkający w Boczkach Adam Nencki. Jego syn, również Adam (to bardzo często występujące imię w tej rodzinie) był m.in. współzałożycielem i prezesem Kółka Rolniczego w Szadku. W 1924 r. podjął próbę (wtedy jeszcze nieudaną) utworzenia banku spółdzielczego w tym mieście.

Na początku II wojny Nenccy musieli opuścić rodzową posiadłość. W archiwum rodzinnym zachował się pisany po niemiecku dokument, na podstawie którego dokonano wysiedlenia. Jest w nim mowa o tym, że Barbara Kowalska i Barbara Nencka muszą opuścić Boczki i wyjechać do Generalnej Guberni do dnia 16.12.1939 r. Mogły zabrać ze sobą bagaż podręczny i 100 marek. Część wyposażenia dworu przekazały na przechowanie służbie. Wyjechały do majątku Adama Nenckiego w Zgórznicy koło Stoczka Łukowskiego. W tamtejszym dworze przez cały okres wojny bardzo aktywnie działała komórka Armii Krajowej. Niektórzy członkowie rodziny przypłacili to życiem.

W 1950 r. zabrano Nenckim majątek w Zgórznicy. Okazało się, że nie mogą też wrócić do swojej siedziby rodowej w Boczkach – ich dawni pracownicy oddali im wtedy przechowywane u siebie książki, obrazy i inne przedmioty. Dzisiaj należą one do Katarzyny Markiewicz. To jej mama, Barbara Nencka w 1939 r.

musiała na zawsze opuścić Boczki. Pani Katarzyna czyni starania o odzyskanie tego, co zostało z rodzinnych włości. Szkoda jej starego, pięknego niszczonego parku, o który nikt nie dba. Marzy także choć o tym, aby w Boczkach została w jakiś sposób upamiętniona historia rodu Nenckich, a zwłaszcza najwybitniejszego z nich, Marcelego.



Herb rodu Nenckich Lubicz